



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przysyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Zabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Od Redakcji. — Modlitwa ciemnego (Wiersz). — Listy z Włoch Tadeusza Jerzego Steckiego. — Widzenia Fantazja Jana Turgeniewa. — Korespondencja z Wiednia. — Ekonomia domowa. — Pamiętnik Wacławy przez Elżę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

Od Redakcji.

Tygodnik Mód w kwartale drugim r. b. wychodzić będzie pod tymi samymi warunkami, w jakich wydawnictwo jego w roku bieżącym rozpoczęliśmy. Zachęceni podwojoną prawie liczbą prenumeratorów, dolożymy wszelkich starań, aby godnie odpowiedzieć położonemu w nas zaufaniu. Utrzymując zatem arkuszowy dodatek z powieściami, dodawać będziemy jak dotąd, albo arkusze illustrowane z ubiorami, jedynie nam dostarczane przez pismo **Modenwelt**, rozchodzące się nie tylko w kilkunastu językach po całej Europie, ale nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki: lub ryciny kolorowane przez artystów paryskich w Brukseli wykonane, wreszcie tablice z krojami i deseniami do haftu.

Po ukończeniu powieści drukujących się, rozpoczniemy dwie inne oryginalną i tłumaczoną. Z tych posiadamy już następujące w rękopismach gotowe do druku a mianowicie oryginalne:

1. *Pierwsza i ostatnia miłość* przez Paulinę z L. Wilkońską.
2. *Serafina* przez Henryka Lisieckiego.
3. *Miłość i Szlachectwo* przez Stanisława Nowińskiego.
4. Powieść Jana Zacharjasiewicza, jakiej przygotowaniem już się Autor zajął.

Z powieści tłumaczonych mamy gotowe:

1. *Zagadkowe natury* powieść w trzech częściach Fr. Spielhagena tłumaczona przez Michała Glisczyńskiego.
2. *Kamienne serce* powieść Golo Raymonda

przełożona z niemieckiego przez St. Nowińskiego — i

3. *Bohater niezłomny* przez B. Auerbacha, przekład A. Callier.

W samym zaś numerze pomieszczać będziemy jak dotąd artykuły poważniejszej treści: Podróże, Korespondencje z Włoch, Wiednia, Lwowa, Krakowa i innych miejscowości, oraz przeglądy teatralne, muzyczne, sztuk pięknych i inne wiadomości.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie rs. 1 k. 50.

w Cesarstwie i królestwie

z przesyłką pocztową „ 2

Prosimy o przysyłanie pieniędzy wprost do Redakcji pod adresem w każdym numerze Tygodnika Mód umieszczonym.

Modlitwa ciemnego.

Z teki ś. p. Jakóba Zakrzewskiego.

Mówią, że ranek, że słońce wschodzi,
Ze w promienistej powodzi
Cudem na złotej wypływa łodzi!...
Oni to widzą, — oni to czują,
W Twoje się dzieła wpatrują
Światła dziedzice!

Zwaj, Ciebie ojcem, o Panie!
Mówią, że słów im nie stanie
Na tyle dziwów tyle dobroci,
O Boże!
Oni je widzą, te ranne zorze,
Widzą to słońce, które je złości.
Blaskiem Twój mocy.

Czemuż o Panie
W przepaściach nocy
Czarne zalegam ciemnice?

Powlokłeś kirem moje żrenice,
A na mój twarzy,
Stawiłeś ciemność na straży
Wziąłeś mi światło, o Panie!...

Ojciec mój w niebie!
Odwroć od siebie
Zniwecz, przepomnij moje szemranie!
Kiedyś mi wskazał drogę żywota,
W promiennym blasku jutrzeńka złota
Wybiegła z nocy na me spotkanie:
Ona mię wiodła ku Tobie!

I wszystek świat Twój, o Panie!
Zieloność wiosny, błękitne wody,
Połyski gromu, tęcze, pogody —
Wszystko widziałem, o Panie!
Oblicze słońca w dziennym krążeniu,
Błyszczące gwiazdy w nocnym milczeniu
Wszystko mię wiodło ku Tobie!...

Lecz pośród światła tysiąca
W iskrzącym gwiazd oceanie,
Jam Twój nie docieknął istoty;
Jam Cię nie widział tyle, o Panie!
Ile w tej smutnej widzę Cię chwili,
Kiedy się próżno me oko żali
Wybrnąć z ciemnoty!..

Chwała Ci, Panie,
Chwała bez końca!
Bo czemże słońca, gwiazdy na niebie,
Ziemia i ludzie, czemże są Panie,
Bez Ciebie?

LISTY Z WŁOCH

Tadeusza Jerzego Steckiego.

II.

Florencja 1871 r.

Pisząc z Florencji chciałbym coś donieść z jej artystycznego żywota, wspomnieć o jej zabytkach, pamiątkach i monumentach ale to rzecz wyczerpana. O, ta Florencja to Ateny nowego świata, to kolebka, skarbnica sztuki. Tu człek żyje i kręci się nieustannie w atmosferze artystyzmu, oddycha technieniem Dan-

tów, Tassów i Aryostów, patrzy oczyma Giottów, Bruneleschich i Buonarottich, słucha dźwięków mowy Galileuszów i Machiavellich a wśród ich cieni, wśród ich pomników sam staje się artystą, rośnie, potężnieje na duchu i na umyśle. Aby poznać Florencję, jej arcydzieła, jej artystyczne misterje rozszpane tu na każdym kroku, nie z głupim *ciceronem* i z Bädacherem pod pachą jak Anglik na wielkich placach i ludnych ulicach szukać ich należy, ale w ciemnych i ciasnych zaułkach, gdzie tylko oko artysty zajrzało, gdzie w tłum przekupniów, lazzaronów, żebraków i najpodejrzniejszych częstokroć istot precyzyjnie się potrzeba. Florencja posiada wielkie Europejskiej sławy zabytki, do których jak mułmanie do Mekki, ciągną artyści i turyści całego świata. Anglicy i Amerykanie mierzą je i przymierzają krokami i kieszonkowymi łókciami, głowami potrząsając, niektórzy słuchają o nich smalonych dubów po raz miljonowy przez natrętnych ciceronów opowiadanych, inni wyśpiewują je w pieśniach i w poetycznej prozie, malują malarze, słowem zbiera każdy co może i na co go stać. Do tych zabytków należą tujejsze dwie kolosalne galerje obrazów i posągów: *Uffizi* i *Pitti*, z arcydziełami Rafaela, Tycjana, Leonarda da Vinci, Guida i Michała-Anioła; dalej *Loza dei Lanzi* z cudnymi grupami marmurów, sławny *Battistero* z bronzowymi drzwiami Ghibertiego, o których Michał-Anioł powiedział, że wrotami do raju być powinny, olbrzymia marmurowa katedra ze swoją cudowną, w niebo strzelającą wieżą (Campanile) o której Karol V. wyraził się, że w pokrowcu staćby powinna i w wielkie święta tylko być okazywana; dalej kościoły: *Santa Croce* z grobami Machiavellego i Galileusza, z pomnikiem Danta, Alfieriego i wszystkich sław włoskich, *San Lorenzo* z grobową książęcą kaplicą Medicisów i rotundą z posągami Michała Anioła, *Santa Maria Novella* z kaplicą hiszpańską, z freskami Giotta, Lippiego i Ghirlandaj — jeszcze może kościół *Anunziata*, drugi *Sw. Marka* z klasztorem na muzeum dziś przekształconym i dom z pamiątkami Michała-Anioła. Otóż i wszystko co zwykle zwiedzają tu tylko podróżni, artyści tylko i wtajemniczeni idą dalej, a nowy świat całe morze studjów odkrywa się przed nimi. W ciemnych, głuchych uliczkach w samym środku miasta, stoją rzędem stare czarne pałace panów i książąt, arcydzieła owiej sławnej Toskańskiej architektury, nieporównanej czystości stylu pokryte herbami, rzeźbą i marmurem, z dziedzicami rzędem doryckich kolumn opasanymi, kolumn stojących ale czarnych i poważnych jak i same gmachy. Wewnątrz w salach i korytarzach freski najskynniejszych mistrzów szkoły Florentyńskiej, stara broń, stare majoliki, przepyszne galerje obrazów, jakichby w innych krajach pozazdrościli panujący książęta, rzeźbione odwieczne sprzęty, stoły, ławy i stolki, słowem tysiące piękniejszych jeszcze od drugich zabytków. Wychodzisz upojony, rozmarzony z tych zaczarowanych gmachów, o których w dzieciństwie młoda, ognista wyobraźnia snuła ci tylko chyba obrazy, o których prawda ci piastunka z historją zaklętych księżniczek i znowu na jawie, nowy cię przedmiot uderza. Patrz, stara jak świat kapliczka z freskami Giotta, biedaczka na drodze stanęła, na zwalenie przeznaczona, bo nową tamtędy prowadzą ulicę, fresk mistrza pod młotem w proch się rozsypie i cóż to szkodzi, kiedy ich tyle jeszcze zostanie? Tam dalej kościół domami zakryty dokoła, kościół piękny, wspaniały, ściany jego kosztownym pstrym marmurem wyłożone w nich grobowe tablice książąt i senatorów z nawpół już tylko czytelne napisami a na froncie cudna, anielskich kształtów i rysów Madonna *Lucca del Robbia*. Héj, héj gdyby to tę bazylikę, na którą nikt tu nie zważa, w nasze przenieść strony i wspaniałą katedrę w niej utworzyć! — I znowu ci coś nowego w oko wpada: znowu kościół, klasztor lub pałac wspaniałym murem otoczone, w gaju pomarańcz, cyprysów i bukszpanów ukryty. Na tych ulicznych studjach i wędrówkach, miesiąc ci zbiegną a co dnia coś nowego odkryjesz. Taką jest Florencja stara Medicisów stolica którą podróżni lata tu często mieszkając, zgoda nie znają. Odsłoniłszy wam misterje, sanctuarium artystycznego jej świata, wybrani doń tylko zacierają właściwe zaś miasto, dzielnica bogatych magazynów, nowych pałaców, hoteli, pospolitych wojażerów, modnych pań i panów, jednym słowem stolica Wiktora Emanuela, to znowu co innego, to na pozór niby jedna z wielkich stolic Europejskich, niby Paryż lub Wiedeń, a jednak z wybitnym charakterem starego włoskiego miasta, z ludnością typową, z żebrakiem,

z lazzaronem, z Włochem w skrzydlatym kapeluszu, wspaniale w swą almawię udrapowanym a nieodstępnym w ustach cygarem, z Włochem zimnym, powolnym, dumnym, w zemście tylko zajadłym, do bójki gotowym. I tu na ulicach życie inne jak gdziekolwiek, swoje, narodowe, gdzie spojrzysz wszędzie sklepiki antykwaryuszów, brudne, ciemne, niepozorne, w nich wśród szmat, starego obuwia i wszelkiego rodzaju gałganów walają się bogate koronki, stare sztychy i oryginalne rysunki Michała-Anioła, Guida i Tintoretta: po kątach leżą w stosy złożone obrazy, książki, chustki i terrakoty niesłychane zabytki i bogactwa. Wychodzisz z tych bud na światło Boże, na ulicy krzyżują się wspaniałe pojazdy z herbami, z liberją: to rzecz tutaj niezbędna, to amulety włoskiego szlachcica, wszędzieby je rad nasadzić.

Patrz dalej — rynek, bazar przenośny na kołach, na ulicy wszystkiego tu dostaniesz za dwa, trzy, cztery sody, fulary, perkale, cygarnice, portmonetki, fotografie i porcelanowe figurki. Wszystko to posuwa przed sobą na wózku opasłe włoszysko, wrzeszcząc w niebogłosy, zachwalając i taniąc i dobroć swego towaru. Muły i osły brzękadłami zawieszane przeraźliwym rykiem mu wtórują, a z otwartych okien z domów i pałaców, dźwięczna, czysta, strojna jak we Włoszech ją tylko usłyszeć możesz, rozlega się tonami płynie i ginie w tym ulicznym wrzasku narodowa barkarola. Oto Florencja, oto obraz jej życia, jej ulicy. Kiedyś, kiedyś więcej wam o tem wszystkiem napiszę, na dziś pora już wrócić w ciasne ramki korespondenta. Aby zaś niezbyt odbiegać od poruszonych przedmiotów, oto archeologiczna świeża wiadomość z Rzymu.

W listach do Tygodnika Ilustrowanego podaliśmy obszernie sprawozdanie o archeologicznych poszukiwaniach, jakie się obecnie prowadzą w ruinach starej Romy: dziś donoszą nam o nowym wypadku odkryciu w tem mieście. W jednej z licznych bram tamtejszych w tak zwaną *Porta Salara*, zniszczonej podczas ostatniego bombardowania (d. 20 Września r. z.) a której restauracją teraz się przedsięwzięto, znaleziono w wieży wmurowany starożytny grobowiec, cztery metry długości mający, dobrze dochowany, jakkolwiek bez żadnych napisów ani płaskorzeźb. Zawiadomiony już o tem odkryciu komitet starożytności Rzymski, rozpoczął swe badania nad epoką i pochodzeniem tego grobowca. Wał otaczający starą Portę Salara na północ Rzymu ciągnący się, obejmował dzielnicę miasta cesarza Honorjusza, wnosić więc można że Honorjusz fortyfikując w pośpiechu miasto przed najściem barbarzyńców, wszystkie groby i pomniki miejscowe bez różnicy na ich znaczenie, wmurowywał w ściany i w wieże swych fortyfikacji. Także sam grobowiec znaleziono w 1843 r. w ścianie *Porty Maggiore*; według zdania antykwaryuszów miał on należeć do Wirgiljusza Eurybacjusza: zdjęto z niego dokładny rysunek. Inny jeszcze grobowiec w kształcie piramidy, tuż przy *Porta S. Paola*, wzdłuż południowego wału miejskiego znajdujący się, a który mienia być grobem Cajusa Sesejusza, położony jest w dzielnicy cesarza Aureljana, starożytniejszej nierównie od Honorjuszowej. Pierwsza siega roku 270—275, ostatnia stanęła między laty 393—400 naszej ery.

W Rzymie rusza się, wre i kipi wszystko od jakiegoś czasu. Stara papieżów stolica po tylowiekowej cichej drzemce, gotuje się do nowego życia, do nowego światowego blasku. Lada dzień oczekują postanowienia o przeniesieniu tam stolicy królestwa włoskiego. Bodajby tylko te nowe splendory nie starły dawnego charakteru stolicy katolickiego świata. Jak dotąd projekt tej tranzlokacji napotyka wielkie trudności pomimo bowiem rozległości miasta, o stosowne gmachy na pomieszczenie jurydykcyi stołecznych, senatu, ministerjów i tp. bardzo tu trudno. Stare olbrzymie pałace są prywatną po większej części własnością licznój rzymskiej arystokracji, która bynajmniej o ustąpieniu ich nie myśli i tworząc tak zwaną partję reakcyi, nieprzychylnem okiem spogląda na toczące się dokoła wypadki. Jest to więc jakby drugie paryżkie Przedmieście St. Germain w pierwszych latach cesarstwa, silniejsze tylko o wiele i potężniejsze od tamtego. Burboni neapolitańscy, exkról i hr. Caserta mają tu także wspaniałe pałace, a liczne gmachy i olbrzymie mury klasztorów zajęte są przez zakony i kongregacje duchowne. Nie ma więc gdzie się tu obrócić nowemu rządowi, pozostają mu dwie alternatywy, albo dźwigać i budować wszystko na nowo, albo brać się do wywłaszczenia jak to już zrobiono z Kwirynalem, który na

pałac królewski zamieniono. Ostatni ten środek niepraktyczny, dałby bowiem powód do nowej wrzawy i hałasu, a kardynał Antonelli piorunujących not ani protestów z pewnością by nie poszedł. Co do pierwszego, duchowieństwo oddawna przewidując na co się zanosi, zakupiło wszystkie puste place i powalone mury, gdzie tylko nowe budowle stanąć mogły. Kardynał de Mérode jest podobno właścicielem mnóstwa takich posiadłości. Owoż rząd przemysła nad środkami wyjścia z tego położenia, a w Izbie włoskiej nieustannie nad tą kwestją toczą się debaty.

Donosiliśmy już dawniej w Tygodniku Ilustrowanym o nabyciu przez rząd włoski od Napoleona III — wspaniałego pałacu Cezarów i tak zwanych ogrodów Farnise w Rzymie: w tych dniach zawarto nowy układ z rządem Austriackim o nabyciu *Pałacu Weneckiego*, który ten rząd w Rzymie dotychczas posiadał, tam ma być pomieszczenie dla włoskiego senatu. Nabycie to ugodą między dwoma rządami ukonsolidowane, ma znaczenie prawie polityczne. Rząd bowiem cesarsko-apostolski sankcjonuje nim niejako wypadki zaszłe we Włoszech i zajęcie Rzymu, łatwo więc pojąć jakie wrażenie fakt ten w pewnych sferach wywołał. Sam ów pałac jest majestatyczny jako budowa a historja jego, dziś zwłaszcza nadto ciekawa, abyśmy jej parę słów poświęcić nie mieli. Wzniesiony w 1468 r. przez kardynała Piotra Barbo, który zasiadł na stolicy apostolskiej pod imieniem Pawła II, pałac ten był rezydencją całego szeregu papieżów aż do Piusa IV, który na mocy *breve* 10 Czerwca 1564 r. wydanego, zrobił z niego dar Rzeczypospolitej Weneckiej. Diedo w swój: *Historji Rzeczypospolitej weneckiej* (t. II rozdz. V str. 196) podaje że Pius IV tak był ujęty skwapliwością z jaką Wenecja przyjęła Sobór Trydencki, że zażądał aby jej poseł stał przy boku jego rezydował i na to przeznaczenie ofiarował dzisiejszy *Pałac Wenecki*, który wówczas *Palacem św. Marka* nazwano. Rzeczpospolita wywzajemniając się zrobiła dar Papieżowi z pięknego pałacu w Wenecji, niegdyś własności rodziny Grittich, na siedzibę dla nuncjuszów. Po zajęciu Rzymu przez Francuzów za Napoleona I, *pałac Wenecki*, był zamieszkały przez reprezentanta rządu włoskiego, a Tambroni prezydent Rzeczypospolitej Cyzałpińskiej mieszkał w nim aż do upadku cesarstwa. Od 20 Kwietnia 1814 r. gmach ten stał się własnością Austrii i był siedzibą ambasadorów przy Stolicy apostolskiej. W konwencji 1866 r. zawartej między Austrią, Francją i królestwem Włoskiem o ustępstwo Wenecji, zawarowano że Austrija pozostanie przy posiadaniu wszystkich pałaców jakie Rzeczpospolita Wenecka posiadała w Rzymie i w Konstantynopolu. Dnia 3 Października 1866 roku p. Wimpfen ambasador austrijski, powołał się na ten artykuł konwencji, a p. Menabrea pełnomocnik króla Włoskiego, jak świadczy *Zielona księga* z 1866 r. zatwierdził prawomocność tej ugody.

Dla dopełnienia wiadomości z Rzymu, wspomnę wam chyba jeszcze o zażartej walce włoskiej prasy klerykalnej z liberalną, jaka się tu toczy oddawna, a którą oczywiście ostatnie wypadki rozżarzyły jeszcze bardziej. Znamy się już cokolwiek z temi szermierkami stronnictw i organów, bo gdzież ich nie znaleźć, tujejsze jednak przechodzą wszystko cokolwiek sobie na tem polu przedstawić można. Niezem angielskie walki kogutów w obec tej rzezi na słowa i argumenta, dowcipy i sarkazmy, jakimi się tu te dwa obozy darzą wzajemnie. Włoska tylko namiętność coś podobnego wywołać jest w stanie. Szczęściem organy klerykalne więcej trochę okazują godności i umiarkowania. Jest tu ich dwa głównych (oba wychodzą w Rzymie) *Unita Catolica* i *Buon Senso* za to nie zawsze grzeszą logicznością, a ostatni często ze swą piękną nazwą w jawnej staje sprzeczności.

WIDZENIA

FANTAZJA

JANA TURGENIEWA.

I.

— Niech licho porwie spirytyzm i spirytów, zawolałem przewracając się na łóżku, — czytając te banialuki wybiłem się ze snu i teraz zasnąć nie mogę... Zły i rozdrażniony zamknąłem oczy i postanowiłem

nie myśleć o niczem, aby tym sposobem zmusić się do snu, i dzięki zapewne temu środkowi, powieki zaczęły się kleić i zasypiałem w najlepsze, gdy w tem odezwał się głos jakiegoś instrumentu i rzewne, smętne tony zadźwięczały w powietrzu.

Zerwałem się i zdziwiony usiadłem na łóżku; w tej chwili księżyc wysunął się z za chmury i blade promienie jego padły na twarz moją i posadzkę koło łóżka, która oświetlona w ten sposób wydała się biała jak kręda. I znowu dźwięki strun dały się słyszeć, ale daleko mocniejsze i wyraźniejsze. Słuchałem wsparty na łokciu, serce przyspieszonym biło tętentem... tak minęła jedna, druga minuta... nareszcie gdzieś daleko kogut zapiał głośno, a po chwili inny jakiś odpowiedział mu jak się zdawało, z bardzo dalekiej oddali.

Cisza zapanowała, po chwili opuściłem głowę na poduszki i sam nie wiem, czy rzeczywiście zasnąłem czy mi się tylko tak zdawało, miałem dziwne sny czy widzenia. Było to na jawie czy we śnie, powiedzieć nie umiem — dość iż wiedziałem że jestem w swoim pokoju, że leżę na swoim łóżku... i znowu gniewałem się że zasnąć nie mogę. W tem jak pierwszy dał się słyszeć szmer jakiś: odwróciłem głowę. Znowu promienie księżyca padały na posadzkę, ale teraz zaczynały skupiać się i przybierać jakieś kształty, z których nieznacznie utworzyła się jakby postać kobiety i postać ta biała i przezroczysta jak obłok, uwydatniała się coraz wyraźniej i wyprostowana stała przede mną.

— Kto tu jest? zapytałem z wysileniem.
Głosik cichy jak lekki szelest liści odpowiedział mi:
— To ja, przychodzę cię odwiedzić!
— Odwiedzić mnie?... ale któż ty jesteś?
— Przyjdź do lasu jak noc zapadnie, czekać cię będę pod starym dębem.

Głuchałem przypatrzeć się bliżej tej tajemniczej postaci, ale zimny dreszcz przebiegał wszystkie moje członki, zacząłem drzeć jak w paroksyzmie febry. I postrzegłem że nie leżę ale siedzę na łóżku, a na posadzce w miejscu gdzie stało widziadło, roztaczał się długi i jasny promień księżyca.

II.

Z upragnieniem oczekiwałem poranka i zmęczony bezsennością chciałem czytać, pracować: daremnie, nie mi się nie udawało. Nareszcie doczekałem się nocy, rozebrawszy się położyłem się do łóżka odwracając twarz ku ścianie, a serce biło silnie, zaniepokojone oczekiwaniem czegoś nieznanego....

— Czekalam daremnie — dla czegoż nie przyszedłś? zapytał cicho ale wyraźnie słaby i dźwięczny głosik.

— To ona! zawołałem mimowolnie, to też sama tajemnicza postać nieruchoma i przejrzysta, toż samo smutne i rzewne zarazem wejrzenie.

— Chodź! wyszeptala znowu.

— Przyjdę odpowiedziałem, głosem nieco tłumionym przestraszam. Widziadło poruszyło się jakby pragnąc zbliżyć się ku mnie... ale nagle zachwiało się... cała postać rozplynęła się jakby we mgle.... i po chwili tylko blade promień księżyca odbijał się na wywóskowanej posadzce.

III.

Przez cały dzień następny byłem nadzwyczaj rozdrażniony; wieczorem wypilem całą prawie butelkę wina, poczem wyszedłem na balkon, czas jakiś popatrzyłem na wszystkie strony i wróciwszy do pokoju rzuciłem się na łóżko: pulsa biły mi gwałtownie.

Zaledwie kilka minut upłynęło, niewidzialne struny zadźwięczały i znowu rzewne tony słyszeć się dały. Zadrżałem... nie śmiałem spojrzeć przed siebie wtem nagle... zdało mi się że ktoś położył mi rękę na ramieniu i stojąc za mną szeptał mi do ucha. „Chodź! chodź! chodź!... Westchnąwszy ciężko, odpowiedziałem drżącym głosem. Idę zaraz! — i podnosząc się usiadłem na łóżku. W głowach stała biała postać kobiety, pochyliła się ku mnie, spojrzała w oczy, uśmiechnęła się słodko i znikła. Krótka, tylko chwilę mogłem patrzeć na jej twarz, zdawało mi się że nie była mi obcą, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie i kiedy ją widziałem...

Machinalnie opuściłem głowę na poduszki i sam nie wiem kiedy zasnąłem. Nazajutrz wstałem bar-

dzo późno i cały dzień biegałem po polu; nareszcie zwróciłem się ku lasowi, i doszedłszy do starego dębu wznoszącego się niedaleko brzegu, starannie obejrzałem miejscowość.

Nad wieczorem wróciłem do domu i usiadłem przy oknie w moim gabinecie, stara moja gospodyni przyniosła mi herbatę: szklanka tego nektaru stała przede mną nietknięta. Byłem w jakimś dziwnym usposobieniu, rozdrażniony nie mogłem się zdobyć na stanowcze postanowienie — pójść czy nie pójść?... pytałem sam siebie, a chwilami zdawało mi się że rozum tracę.

Słońce chyliło się ku zachodowi; ani jedna chmurka nie zasnęła pogodnego nieba. W tem nagle cały w około rozstający się krajobraz przybrał niezwykłą purpurową barwę, która pokrywając drzewa, liście i kwiaty, zdawała się przynosić jakiegoś nadprzyrodzonego ciężaru, którego brzemień pozabawiało je swobody ruchów. Ten blask jaskrawy, ta niepojęta nieruchomość i ubezwładnienie przyrody, zalegające w około jakby grobowe milczenie, wszystko to razem dziwne wywierało wrażenie. Nagle wielki jakiś czarny ptak usiadł na mojem oknie; spuścił się z wysoko, a żaden szelest nie zdradził jego lotu. Zwróciłem wzrok ku niemu: wpatrywał się we mnie swojemi okrągłemi bystreimi oczami. Zrozumiałem co mówiły i pomyślałem sobie: przysyłają cię z przypomnieniem abym nie zapomniał o umówionem rendez-vous.

Po chwili ptak rozwinął swe wielkie puchem podobite skrzydła i odleciał gdzieś wysoko, równie cicho jak przybył. Długo jeszcze siedziałem w oknie w głębokiej pogrążony zadumie, ale już nie wahałem się w postanowieniu. Zdawało mi się że jestem ściśnięty okręgiem zaczerpionego koła i zostaję pod wpływem jakiejś tajemniczej siły, której opierać się niepodobna; słowem byłem jak wątek łódka którą bystry prąd pozbawił siły oporu i popycha ku mąjącym ją pochłonać otchłaniom. Zwolna krajobraz zaczął tracić swój czerwono-krwisty kolor, rażąco barwne cienie spopełniały i przechodziły w coraz posępniejsze tony, aby stopniowo zagaść w ciemności sprzyjającej ciemności i nadprzyrodzonym zjawiskom. Lekki wietrzyk zaszeleścił w powietrzu, jasny księżyc ukazał się na niebios błękitnie, a pod bladem jego światłem drzące listki drzew migotały nieustannie, przedstawiając się już to ciemne już usrebrzone promieniami księżyca. Gospodyni moja weszła do pokoju z zapaloną świecą; nagle wiatr powiał od okna i zgasił ją; — ocknąłem się z zadumy, i wzięwszy kapelusz wybiegłem z domu zwracając kroki ku lasowi, w stronę gdzie wznosił się dąb stary.

(d. c. n.)

K O R E S P O N D E N C J A

Z

WIEDNIA.

Wylew Dunaju — Próba nowego oświetlenia gazowego — Wydatki gminy miasta Wiednia na szkoły — Gimnastyka w szkołach dla dziewcząt — Charakterystyka chłopca austriackiego hr. Eotvös — Księżna Leopoldyna Koburgska — Znowu obchód 50 letniej zasługi — Karnawałowe requiescant in pace — Operetka Straussa — Koncert rytmiczny.

W połowie tego miesiąca spotkała Wiedeń wielka niespodzianka, która jednak do przyjemnych wcale liczyć się nie może. Gdy mrozy zelały i lody na Dunaju puściły, kry spiętrzone zatamowały wolny bieg wody, w skutku czego gwałtowny nastąpił wylew, nie tylko Dunaju ale i kanału miejskiego. W jednej chwili kilka przedmieść bardzo ludnych i pięknie zabudowanych woda literalnie zalała, i płynęła wszystkimi ulicami. Łatwo sobie wyobrazić co się działo z ludźmi znajdującymi się właśnie na ulicach. Wprawdzie dość szybko dostarczono czołen i pustaiano przejścia z deszczek na sążeń nad poziom wzniesione, nim się to jednak stało, trzeba było po szyję brnąć w wodzie aby się dostać na miejsce bezpieczniejsze. Po kilku godzinach woda z ulic ustąpiła, ale z piwnicy i mieszkań suterynowych nie tak prędko. Wszystko też co się tam mogło znajdować do szczeru zostało zniszczone, a nawet kilku ludzi utonęło. Rodziny które w skutek wylewu nie mogły po-

wrócić do swoich pomieszek, lub je natychmiast opuścić musiały, gdyż katastrofa mogła się co chwila powtórzyć, pomieszczenia tymczasowo w koszarach tudzież innych gmachach publicznych i żywno na koszt miasta. Ogółem gmina żywiła przeszło dwieście tysięcy ludzi, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło zupełnie, to jest do 22 b. m. Teraz już wszyscy wracają powoli do siebie, do wilgotnych ścian, i łamią ręce nad szczątkami swego dobytku, nad sprzętami i innymi ruchomościami, które około dzieśięciu dni stały w wodzie. Składki zbierane w całym państwie, urządzająca się loteria, kilka przedstawień teatralnych i tym podobne środki może choć w części zdołają się przyczynić do osłodzenia nędzy uboższych mieszkańców Leopoldstadtu i jego rozległych odnóg.

Pomimo najszczerszego współczucia jakie wzbudza w nas czyjakolwiek nędza, komuż z nas nie przyjdzie na myśl, co by to Niemcy powiedzieli, gdyby w naszym kraju np. w Warszawie stało się co podobnego jak tutaj wylew Dunaju? Ten i ów wzruszyłby ramionami, ten i ów mruknąłby z szyderstwem że to *polnische Wirthschaft*, a jednak jakież to gospodarstwo tam, gdzie co lat kilka klęska taka może się powtarzać, gdzie co lat kilka Dunaj krocie tysięcy pochłania? Już oddawna istnieje projekt uregulowania rzeki, już oddawna można było raz na zawsze położyć tamę wylewom, ale się nie spiesono i sprawa tak ważna, szła w odwłokę trybem niemieckim z roku do roku. Tak dzieje się w stolicy państwa rakuskiego z wielu ulepszeniami i chociaż Wiedeń zajmuje jedno z pierwszych miejsc pomiędzy stolicami europejskimi, nie było przykładu aby je w czemkolwiek wyprzedził, aby im dał popęd do zastosowania zdobyczy naukowych na któremkolwiek polu. Jeżeli kiedy co zrobi, to tylko to, co gdzieindziej już dawno zrobiono. Nasuwa nam te uwagi także kwestja nowego sposobu oświetlania miast, którą w ostatnim czasie dość żywo się tu zajmowano. Inżynier Tessie de Motay z Paryża robił w jednym z hoteli próbę oświetlania gazem kwasorodnym i wodorodnym. Próba wypadła wymiennie. Oświetlono małą salę na pierwszym piętrze, najprzód zwykłym a następnie nowym gazem. Różnica była ogromna, efekt przy oświetleniu nowym gazem, zdumiewający. Płomień biały jak śnieg; dawał światło zupełnie podobne do dziennego i kolory bynajmniej się w niem nie zmieniały. Bramę hotelu oświetlono także nowym gazem na próbę. Jakże mdlemy wydawały się płomyki zwykłego gazu w sąsiednich latarniach na ulicy! Słowem próba udała się jak najlepiej, wszyscy podziwiali wynalazek, uznawali że zasługuje na dokładniejsze zbadanie, potwierdzali iż wartoby oświetlać Wiedeń nowym gazem, zwłaszcza że jest tańszym od zwykłego o 50 proc, pomimo tego przysiądł by można, że tak znakomity wynalazek nie przedźw w Wiedniu znajdzie zastosowanie, aż wszystkie inne stolice europejskie zapomną że były kiedyś oświetlane inaczej.

Pod jednym tylko względem gmina miasta Wiednia przodkuje innym stolicom europejskim, a to w hojności na utrzymanie szkół. Na ten cel bowiem niezmiernie corocznie obraca fundusze i bynajmniej się nie przestrasza, że wydatki w tym kierunku z każdym rokiem wzrastają. Aby prawdę stwierdzić cyframi, powiedzmy tutaj jaki jest budżet szkolny gminy miasta Wiednia na rok bieżący.

Oto: koszt utrzymania szkół średnich 212,930 guld. szkoły ludowe 783,970 guld. gimnastyka w szkołach męzkich 27,000 guld. szkoły dla nauczycielek 19,860 guld. ogółem 1,043,810 guld. Nadto wydatki na budowę dwóch nowych szkół 117,000 guld. Obecnie świeży uchwalono wydatek. Idzie o zaprowadzenie gimnastyki w szkołach żeńskich, przedmiotu tak bardzo potrzebnego dla obu płci ze względu na zdrowie młodego pokolenia, przedmiotu będącego tak ważnym czynnikiem w wychowaniu. Ponieważ nie ma kobiet uzdolnionych do uczenia gimnastyki w szkołach żeńskich, uczyć będą z początku mężczyźni, obowiązani jednak wykształcić w najbliższym czasie kilka kobiet, któreby mogły zająć kiedyś ich miejsce.

Co jest przyczyną że pomimo tak pomyślnego stanu szkół, moralność między ludem bynajmniej nie wzrasta, że liczba zbrodni, zabójstw, samobójstw, dzieciobójstw itp. wcale się nie zmniejsza? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Jedni twierdzą, że wychowanie młodzieży pomimo obfitości środków naukowych i pedagogicznych, zawsze jeszcze jest niedostateczne, niezupełne, nauka w umysłach nie dość

silnie utwierdzona, drudzy dowodzą, że brak gruntu religijnego jest tego przyczyną. Co do nas, jakkolwiek najzupełniej zgadzamy się na ideę tolerancji religijnej w nowoczesnym pojęciu, chętnie skłaniamy się ku temu ostatniemu zdaniu i mniemamy, że moralność nie może kwitnąć tam gdzie nie ma religii.

W ogóle szkoły austriackie zwłaszcza po wsiach i małych miasteczkach, mało działają na umysł ludu, z kąd pewien rodzaj historycznego oświecenia ciąży na nim kamieniem i czyni go nieporadnym, ociężałym a prawie zawsze śmiesznym. Oto przykład:

Chłop z Lichtenworthu przyjechałszy do Wiener Neustadt, stanął w oberży, a gdy chciał odjeżdżać, postrzegł że mu jednego konia ukradziono ze stajni. Ochłonałszy cokolwiek z pierwszego przerażenia które w pierwszej chwili odjęło mu mowę, narobił hałasu i zawiadomił policję w skutek czego rozesłano gońców na wszystkie strony. Ale w tem pewien znajomy owego chłopca, usłyszawszy co się stało, przybył i całą sprawę podaje w wątpliwość dowodząc, że jego kumowi konia nie skradziono dla tej prostej przyczyny, że tylko jednym koniem przyjechał, a właśnie jeden stoi w stajni. Poszkodowany obruszył się, bo nie wierzył aby mógł mieć tak krótką pamięć gdy go jednak wzięto na indagację, gdy mu rozmaite drobne okoliczności przytoczono, po gruntownej rozprawie i długim przypominaniu, uderzył się biedak w czoło i śmiejąc się sam z siebie, przyznał że istotnie tak było jak kum mówił. Uradowany jakby mu kto konia darował, idzie do stajni aby zaprząść i odjechać, ale... nowy przestrah! Już i tego konia nie ma. Znowu więc hałas i wrzawa, znowu gońce latają, całe miasto na nogach, poszkodowany zwraca się jak mysz w ukropie. Wszystko nadaremnie. Po kilkogodinnym trudzie wracają wszyscy, patrząc, a koń stoi spokojnie przy żłobie. To już chyba cud! Gdzie tam! Inny chłop, który w tej samej nocował oberży, cudzego konia zamiast swego zaprzął i odjechał. Nie grzesząc także zbyt, bystrością umysłu, zapewne nie prędko byłby postrzegł omyłkę, ale spotkał na drodze znajomych, którzy zwrócili jego uwagę że jedzie nie swoim koniem. Wracając więc do stajni, zostawia cudzego a bierze swojego konia i odjeżdża niepostrzeżony. Zdarzenie prawdziwe.

Jak ze szkołami, tak samo rzecz się ma z wielu innymi instytucjami i zapewne nie mało minie czasu, zanim wszystkie odpowiednio wymaganiom postępu urządkowane będą.

Śmierć br. Eotvösa, węgierskiego ministra wyznań i oświecenia, okryła żałobą nie tylko jego rodaków, dla tego wspominam o tym wypadku. Jako jeden z najdzielniejszych obrońców idei równości i wolności, która w naszym stuleciu do takiego doszła rozkwitu, br. Eotvös pracował nie tylko dla swojej ojczyzny, lecz dla całej ludzkości. On tę ideę zaszczerpił w Węgrzech, na gruncie który zdawał się tak bardzo nieplodnym. Jako pisarz Eotvös byłby ozdoba każdej literatury. Wpływał na lud swój wszelkimi sposobami: wydawał broszury o kwestjach bieżących, pisał dzieła pełne erudycji, komedje, tragedje, romanse, redagował gazety, zawsze jedną myślą ożywiony, aby idee nowożytne przyswoić swojemu narodowi. Pierwszy w Węgrzech pisał za emancypacją żydów, stosunki zaś socjalne i polityczne swojego kraju chłostał nieustannie w powieściach. Naród węgierski ocenił zasługi wielkiego męża, czego dowodzi żal głęboki we wszystkich sferach, jaki śmierć jego wywołała.

Pogrzeb Eotvösa odbył się z okazałością odpowiednią wysokiemu jego stanowisku i zasługom. Tutaj w Wiedniu mieliśmy także sposobność widzieć pogrzeb wspaniałej, osoby także wysoko stojącej, chociaż nie pod takim względem jak Eotvös. Umarła tutaj księżna Leopoldyna Sachsen Koburg Gotha, córka cesarza brazylijskiego Don Pedra II, urodzona w r. 1847 zaślubiona w 1864. Zostawiła czworo drobnych dzieci z których syn najstarszy jest następcą tronu brazylijskiego. Księstwo bawili tu od r. 1869 zaprzyjaźnieni z tutejszym dworem cesarskim, ale księżna była znana i w innych sferach, ponieważ odznaczała się prawdziwie chrześcijańską dobroczynnością. Gdy jej zgon opłakiwano, a księżę mdlał nieustannie, pięcioletni synek pytał czemu tak wszyscy płaczą? Szczęśliwy, nie czuł straty którą poniósł. Księżna w ostatnim dniu przed chorobą sama go rozbrajała, usypiała i pieściła więcej niż zwykle, jakby przeczuwała że to po raz ostatni.

Gdy ze zwykłą w takich razach okazałością wieszono zwłoki na kolój dla pogrzebania w Koburgu, tłumy ludu stały po wszystkich ulicach, i wszędzie dawały się słyszeć smutne westchnienia: tak piękna... tak młoda... tak kochana i szczęśliwa!

Prawie w każdym liście przychodzi mi donosić o uroczystych obchodach na cześć ludzi znakomitych lub zasłużonych. W tym miesiącu nie poeta jak Grillparzer, ale księgarz tutejszy Braumüller obchodził 50 letni jubileusz swego zawodu. Wielki książę Wejmarowski bawiący obecnie w Wersalu, dowiedziawszy się o zamierzonym obchodzie, napisał do niego list bardzo pochlebny. Toż samo wielka księżna. Nadto otrzymał telegramy od kilkuset księgarzy niemieckich, uczonych bibliotekarzy i towarzyszów naukowych. Autorowie których dzieła wyszły jego nakładem złożyli mu album ze swojemi fotografiami ozdobione wieńcem srebrnym. Drukarze wiedeńscy ofiarowali szanownemu bibliomanowi wieniec wawrzynowy srebrny, na którego liściach wyrze były nazwiska autorów przez niego wydanych. Nadto Braumüller otrzymał mnóstwo dyplomów honorowych. Wieczór odbyła się uczta na cześć jubilata w której brało udział kilku reprezentantów rządu bardzo wielu literatów wiedeńskich, profesorów i księgarzy. Przeplatana gestami toastami częścią prozą, częścią wierszem przeciągała się do późnej nocy.

Karnaławał się ukończył, bawiono się tutaj wysmianiem, wesoło, weseliej może niżby się godziło w tych okropnych czasach teraźniejszych, walcowano na zabój w salach i pod gołym niebem, po posadzce i na lodzie. Toalety były świetne, świetniejsze stokroć niż w ubogiej stosunkowo Warszawie, kostjomy kosztowne, chociaż rzadko gustowne, bo Niemkom jak na wdziękach tak i na smaku w doborze kolorów i całem urządzeniu ubrania zbywa niesłychanie. Uderzyć to musi każdego, kto świeżo do Wiednia przyjedzie, a i kosmopolita ujrawszy wystrojoną choćby z największym przepychem wiedeńską, uśmiechnie się szyderczo i przyzna pierwszeństwo swoim rodaczkom, na których prosta sukienka, ale stosownego do wieku, płci i włosów, koloru, skromnie a ze smakiem przyozdobiona, tak pięknie się wydaje.

(d. c. n.)

Ekonomja domowa.

(Dokończenie).

We wszystkich wypadkach, jakkolwiek przypadnie kobiecie udział w obrocie finansów, pierwszym dla niej warunkiem jest codziennie sobie zdawać ściśle sprawę ze swego zarządu pieniędzmi.

Rachunkowość gospodarska inną jest dla rodzin w mieście zamieszkałych, aniżeli na wsi, inną dla urzędników i kapitalistów, niż przy gospodarstwie rolnem lub przemysłowym.

Przypuszczam kobietę posiadającą najzupełniejszą zaufanie męża, spełniającą w całej rozciągłości czynności gospodni, i stosownie utrzymującą rachunki przychodu i wydatku domowego.

Przedewszystkiem należy jej koniecznie postawić sobie budżet dochodu, wiedzieć dobrze jakimi środkami rozporządzać jej wolno, a dopiero po ściśle określaniu rzeczywistych lub przypuszczalnych cyfr, może ustanowić budżet wydatków. Zaniedbanie takiego względu najlepiej zarządzane domy narażone są na upadek.

Na nieszczęście wyznać trzeba, iż smutna ta nieogłędność w bardzo wielu rodzinach panuje. Najpierwej wydatkują, a potem dopiero obmyślają jakim sposobem można zadosyć uczynić wydatkom; kiedy rozsadek i przezorność nakłaniają do wzięcia najprzód pod ścisły rozbiór kwestji dochodu. Ileż to żon przez to tylko że je mężowie nie wtajemniczają w bieg swoich pieniężnych interesów, łudzi się pozorami, za rzeczywistość biorą przypuszczenia i nadzieje, rachują z pewnością na summy które mają wpły-

nać do kasy i nazbyt wcześnie już niemi rozporządzają.

A przecież zdaje się iż nie prościejszego w świecie nad taką artemetykę: w ciągu tego roku taką mam otrzymać sumę, w stosunku więc do niej potrzebuję określić cyfrę komornego, wyżywienia, wydatku na odzież i na przyjemności, i zawsze muszę choćby małą sumkę zostawić na oszczędność, a tym sposobem budżet mój będzie zawsze w porządku.

Otóż, z wszelką pewnością zaręczyć można, iż w większej części rodzin odwrotnie się dzieje: nie według przychodu regulują się wydatki, ale według wymagań często urojonych, a zawsze nierozsądnych, jeżeli przechodzą możność naszych dochodów.

Kobieta rozsądna nie dopuści się takiej nieroztropności, i nie tylko potrafi uniknąć tego szkopu o który rozbija się nawa rodzinnej pomyślności, ale nadto by się zapewnić, iż wykonanie wbrew nie idzie ogłędnej zasadzie, nie pominie w zapisywaniu najdrobniejszego nawet wydatku, nie przepuści ani dnia jednego bez obrachowania się z dochodami i z ich użytkiem. Niechby raz zaniedbała tego przeglądu, już stracił swoich rachunków, już się w nim powikła, przyjdzie nuda, za nią niedbalstwo, niedokładność rachunku, a w stosunku zupełne ich zaniedbanie.

Zbyt to rzecz ważna a zarazem prosta aby ją odsyłać do specjalnych traktatów. Nie chodzi tu bowiem o rachunkowość handlową, o buchalterję jakąś się uczy młodzież sposobiącą się do handlu lub kupiectwa.

W rachunkowości domowej najwłaściwszą jest metoda jak najmniej skomplikowana. W większej liczbie domów wystarczy pewna ilość regestrów sprawdzających się jedne drugimi, i na których rzutem oka objaśnić można w końcu miesiąca i roku ogólną cyfrę każdego działu wydatków.

Przedewszystkiem powtarzam, zacząć trzeba od ściśle określania wszelkich przychodów na jakie liczyć można, i starannie utrzymać rejestra z działami na wpływy każdego rodzaju, i odpowiednio tym ustanowić wydatki.

Wypada mieć pod ręką książeczkę lub pugilaresik w którym pani domu zapisuje sobie w ciągu dnia każde kupno, zaliczkę, odbiór i t. d. Tak już więc ma gotowy spis dziennego wydatku i przychodu. Wieczorem zaś na przygotowanym rejestrze rubrykowanym rozpisuje wydatki w szpaltach z których każda przeznaczona specjalnie na inny rodzaj potrzeb, a w końcu każdego miesiąca zsumuje pod każdą kolumną ogólną cyfrę rozchodu.

Przy końcu każdego roku widzieć można całość rozchodu, wynikłą z dodania wszystkich specjalnych wydatków, i ułożyć bilans dający miarę mądrej ekonomji lub nieprzezorności w wydatkach.

Rozumie się samo z siebie, że przy zarządzaniu znacznem wiejskiem gospodarstwem, handlowym domem, zakładem przemysłowym, rachunki więcej skomplikowane, wymagają większej ilości ksiąg, notat, i regestrów, lecz rachunkowość jakiegokolwiek bądź wagi, da się streścić w następnych przepisach.

Zapisywać natychmiast na osobnej książeczce wszelki wpływ i wydatek; co wieczór rozgatkować i ogólną ich cyfrę dzienną wpisać w główną księgę, każde w swoim dziale, codziennie sprawdzać kasę; co miesiąc układać bilans rachunków; co rok ogólne obrachowanie, i sprawdzenie wykazem jakie są aktywa i passywa domu. Każda gospodni może bez trudności wprowadzić ten system do swoich domowych interesów.

Gor.....

Osoba wydoskonalona w krawiecczynie i innych robotach, a szczególnie w kroju podług najświeższej metody paryżkiej, życzy sobie przyjąć miejsce jako **starsza panna do zarządu całym zakładem** w jednym z miast Gubernji Zachodnich Cesarstwa. Adres można zostawić w Redakcji Tygodnika Mód pod literami: **M. Z.** (748)

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEMŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

XLI.

Nad wieczorem siedziałam w pokoju moim sama jedna, i patrzyłam przez okno na świat pogrążony w ciszy i mgie jesienną. Zadumanam okiem wodziłam po niskim sklepieniu, na którym śród tła bladego błękitu, ciągnęły szeregiem obłoki ciemne w fantastyczne połamane kształty.

Z za krańca widnokręgu wypłynął jeden z obłoków takich, ale większy i majestatyczniejszy jak inne. Ostatnie promienie słońca, co się już zatoczyło za wzgórze, grały na nim urozmaiconych barw tonami. Wierzch miał złocisty, brzegi okrażone ciemną purpurą, a po bokach dwa skrzydła z dwóch srebrnych utkane chmurek. Pędzony łagodnym wiatrem, zwolna i poważnie wkraczał wspaniały obłok na blade sklepienie, a gdy już całkiem wyłonił się z za wąskiego pasa borów zamykających widnokrąg, przybrał postać olbrzymiego rycerza w złotym hełmie na głowie, w rozwianej śród biegu szacie purpurowej, z dwoma śnieżnymi skrzydłami, które zdawały się go unosić we wrzawę walki i bohaterskich czynów. Łagodny wiatr od zachodu wiał ciągle i coraz dalej ku środkowi sklepienia posuwał napowietrznego rycerza — olbrzyma.

Nagle ze szczytów wzgórz odległych ostatnie znikły słońca promienie, a zarazem świetne barwy pięknego obłoku przygasać zaczęły. Naprzód złocisty hełm pociemniał jakby rdzą pokryty, potem purpura szaty rozwiewnej zbladła i mętną oblała się żółtością, na koniec skrzydła srebrne w dół się opuściły i brudno popielatę nabrały barwy. Mimo to jednak obłok jak rycerz odarty z purpury i zbroi, kroczył jeszcze chwil kilka po sklepieniu zwolna, wspaniale. Lecz nagle powiał wiatr silniejszy, zwiastun zapewne nadchodzącej nocy, a obłok pod niebem zachwiał się i rozrzedził. Nie rozprzął się jednak zupełnie, tylko gdy się już znalazł na samym środku sklepienia, zamiast do rycerza bohatera podobnym był do kaleki-żebraka, z którego brudne i podarte opadają szmaty.

Odwróciłam spojrzenie od obłoku, który świetny gdy na nim grały blaski słoneczne, tak brzydkim stał się gdy go odstał połysek pożyczany i potoczywszy okiem dalej po sklepieniu, spotkałam w górze wielkiego czarnego ptaka, który kołysał się w powietrzu z poważną swobodą pomiędzy dwoma popielatymi chmurkami, pod kawałkiem czystego błękitu. Po chwili rozpuszczone skrzydła ptaka uniosły go

daleko od chmurek towarzyszek i zwolna, wspaniale szybował w powietrzu to spuszczał się nieco, to znowu podnosząc, jakby mu tęskno było porzucić dla ziemi nieba sąsiedztwo.

Ten ptak, pomyślałam, to może orzeł w krainie naszej zbłąkany, z dalekich stron przybyły, szlachetny król ptaków, czasem jeden w dziedzinie żyjących zuchwałem okiem w słońce patrzeć zdolny, którego gniazdo w górach niebotycznych usłane, a skrzydła rozpięte na rycerskich sztandarach i nad dumnymi monarchów czołami. Myśląc tak patrzyłam na wielkiego czarnego ptaka i lot jego wysoki ściagałam spojrzeniem. Po chwili czarny ptak zaczął się zniżać ku ziemi, lot jego stawał się coraz mniej majestatyczny, ociężalszy, pozbawiony wdzięku i powagi, aż na koniec ujrzałam go siadającego na gałęzi pobliskiej topoli i poznałam w nim — kruką. Zamiast górskiego monarchy na podniebnych wychodowanego szczytach, przed wzrokiem moim zawisł podły ptak, wytuczony zwłokami umarłych zwierząt; zamiast hardego symbolu królów i rycerzy, ujrzałam godło złodziei i żarłoków.

I było mi coraz smutniej.

Na niebo między chmurami, blade wypływały gwiazdy, na jednej z nich spoczęło moje oko. Nie była ona tak świetna jak bywają gwiazdy lipcowej nocy, ale zdawało mi się, że drżała w niej rzewność, niby w nieśmiałem ale promiennem oku dziewczycy. Nagle, zrobił się w górze ruch obłoków i chmurek, gwiazdka moja blada lecz rzewna opadła od tła błękitnego i rozplynęła się w powietrzu mnóstwem iskier, które wnet zgasły. Na miejscu kędy błyszczała, stanął przygnany wiatrem obłok szary....

Zakryłam dłonią oczy a przed wzrokiem mój duszy kroczący po obłokach olbrzym, rycerskie szaty swe zamienił na łachmany nędzarza, wspaniały orzeł przybrał postać pospolitego kruką, gwiazdy jedna po drugiej spadały z nieba i rozplywały się jak fajerwerk w iskry, które wnet gasły..

Czyliż wszystko na ziemi podobnym ulega metamorfozom?

Czy z nieba duszy opadną mi jedna po drugiej gwiazdy marzeń jak ta, co przed chwilą stoczyła się z obłoków?

Z samego dna mego ducha wychodził głos tajemniczy i mówił: Nie! są na ziemi olbrzymy którzy szat rycerskich na brudne nie zamieniają łachmany, są orły które wiecznie szybują pod niebem i hardem okiem w słońce patrzeć zdolni: są gwiazdy co nigdy nie opuszczają górnego stanowiska na jakim zawiesiła je ręka Wszechmocna. Ale od takich olbrzymów, od takich gwiazd tyś bardzo daleka.... One zamieszkują strefy do których nie dostała się jeszcze stopa twoja.... ich nie spotkać na każdym kroku.... one rzadko rozsiane świecą gdzieś nad ziemią ciemną, jak szeroko rozpalone pochodnie!..

Tak mi mówił głos tajemniczy a ja mu wierzyłam, bo wierzyć pragnęłam, bo z wiarą i marzeniem dusza moja rozstać się nie miała siły.

Posłyszałam kroki zbliżające się do mnie, odsłoniłam oczy i zobaczyłam stojącą przy mnie Binię.

Śród światowego wiru i odmetu wrażeń różnych, zaniedbałam, opuściłam dobrą piastunkę moją. Teraz, gdy rozplakana w duchu i rozmodlona ujrzałam ją przy sobie, wyciągnęłam do niej ręce jak dziecko, które chce się pożalić na to, że w oczach jego ktoś tłucze cacka jakimi bawiło się tak rozkosznie.

Binia pocałowała mnie w czoło i rzekła:

— Przyszłam do ciebie Wacławo, bo zobaczyłam cię smutną..

Posadziłam ją przy sobie i objęłam ramionami.

— Biniu, prosiłam, opowiedz mi jedną z tych ślicznych powieści, które mówiłaś mi gdyś dzieckiem była.

— A na co ci one teraz? spytała stara piastunka.

— Niech mi się wyda, że jeszcze małą dziewczynką, odrzekłam — i niech z ust twoich słyszę opowiadanie o wielkich cnotach, o wielkich ludziach.. abym wiedziała, abym wierzyła, że cnoty takie i ludzie tacy istnieją na ziemi....

Światło palące się w przyległym pokoju lampy, słabo oświetlało poważną a łagodną twarz mojej piastunki, gdy powtarzała mi ową jedną z ulubionych opowieści swoich, których tło zaczerpnięte było z dziejowej przeszłości. Tylko już nie dziecięcym przemawiała językiem, ale słowa jej gorzały uczuciem wielkim, a wielkie obrazy skąpane we krwi bitew i w enót olbrzymich światłości, stawały przedemną wyraźne i wypukłe jak mistrzowsko wyrobiona płaskorzeźba.

Spragnionej dobra i wielkości duszy mojej, mówiła Binia o dobrych i wielkich ludziach, którzy kiedyś żyli.

Znagle poruszyłam się żywo i wyprostowałam. Z ust Bini wyszło imię sławne w dziejach, mające prawo do wdzięczności i czci potomków a imię to nosił hr. Witold.

— Biniu! zawołałam, człowiek o którym mi mówisz wielkim był człowiekiem! nieprawdaż?

— Tak dziecko! odpowiedziała.

— A czy cnoty przodków zawsze w dziedzictwie dostają się potomkom? spytałam w zamyśleniu.

Binia smutnie pokiwała głową. Zdało mi się nawet, że westchnęła.

— Niestety! rzekła. Najczęściej dzieje się całkiem przeciwnie.

— O, ale on poszedł pewno w ślady wielkich swych przodków zawołałam mimowoli.

— Kto? zapytała Binia ze zdziwieniem.

Usta moje nie chciały się otworzyć aby wymówić imię, które błyszczało w mej myśli. Zdawało mi się, że gdy je wymówię zniknie urok tajemniczy jakiego pełne było to imię.

Binia mówiła dalej, a ja przymknęłam oczy i pod powieką widziałam znowu na tle ciemnem twarz nieznanego człowieka, od niej ku mnie tętnął spokój niewysłowiony i wiara rzewna dziecięca, co mi niby przecucie zdaleka kędyś płynące słodko do ucha szeptało: jest dobro, jest prawda, jest wielkość na ziemi!... Gdy w godzinę potem z pogodną już twarzą przyszłam do mojej matki, powiedziała mi, że za tydzień opuścimy wieś aby na całą zimę zamieszkać w mieście W. gdzie czekało już na nas oddawna przygotowane mieszkanie.

— Zima smutna jest na wsi i oddawna przywykłam w mieście ją przepędzać, mówiła moja matka, zresztą dodała po chwili zamyślenia, nie wyrzekłam się nadziei wydania cię za mąż nim odjedziesz do ojca. Dla matki wielkie to szczęście zawsze, jeśli sama córkę swą do ślubnego poprowadzi ołtarza, a przytem nie rozstałam się zupełnie z myślą, że młoda, dobrze wychowana i wielu obdarzona zaleta-

mi, pomimo ruiny mego majątku możesz jeszcze zrobić dobrą partję i zdobyć w świecie pozycję, jaką dla ciebie pragnę....

Mówiąc to patrzyła na mnie a potem z czułością pogładziła po twarzy i rzekła żartobliwie:

— A widzisz flutko, uśmiechasz się z zadowolenia, że ja tej dobrej nadziei nie tracę, bo też i sama nie tracisz jęj zapewne.

Zaledwie słyszałam słowa mój matki o tych nieutraconych jeszcze przez nią nadziejach, o dobrej partji i pozycji w świecie. Uśmiechałam się zaś do twarzy nieznanego człowieka, która piękna, spokojna, duchową pięknoscią, wisiała przedemną na tle ciemnej nocy rozpostartej za oknem, z koroną dziejowych wspomnień nad czołem.

Przed wyjazdem pojechałam z matką na pożegnanie do państwa Rudolfów.

Pani Rudolfowa więcej niż kiedy pokazywała nam białe swe zęby i z nieznaczną wymową a słodczą ubolewała najczęściej jak tylko mogła, nad poróżnieniem się naszym z babką Hortensją. Byłam tam — wczoraj! Jadę tam, jutro!.. powtarzała tak co moment, przytem spoglądała na mnie i na moją matkę oczyma, w których zdawało się świecić wszystko złoto babki Hortensji, jakie teraz już sama jedna spodziewała się posiąść.

Z powrotem mijaliśmy dwór hr. Witolda. Starożytny, modrzewiowy dom o wielkich licznych oknach stał na wzgórzu spokojny i owiany przezroczywą mgłą jesienną. Osady i pojedyncze domki rozsiane po dolinie, otaczały go ożywionym wieńcem ruchu i obfitości. W dali pod lasem białło coś na wzgórzu w niewyraźnych kształtach, i kilka złoconych lub srebrnych krzyżów błyszczało pod obłokami. Spytałam moją matkę coby tam był za cmentarz czy kościół jakiś?

— To kaplica cmentarna i grobowce przodków hr. Witolda.

Wychyliłam głowę przez okno i dawno kareta minęła dwór na wzgórzu a ja patrzyłam jeszcze. I zdali już widziałam jak z za obłoków wyrzucił promień zachodzącego słońca, i szeroką czerwoną smugę rozpostarł pomiędzy domem modrzewiowym, a grobowcami bielejącymi w oddali.

XLII.

W dziesiąty Listopadowy wieczór wjechaliśmy do miasta W. Chciałam od razu pochwycić obraz starego grodu, ale przez zroszone szyby karety, nie zobaczyć nie mogłam. Powóz wjechał w oświetloną latarniami bramę wielkiej kamienicy; po szerokich wschodach weszliśmy na pierwsze piętro i otworzyła się przed nami piękna amfilada kilku wytwornie urządzonych salonów i saloników, w których dwaj lokaje kończyli zapalać światła.

Oglądając nowe nasze mieszkanie, uwielbiałam smak i umiejętność światową, z jaką jeszcze przed powrotem moim z pensji urządziła je moja matka. Wszystko tam było bogate, ale nie rzucało się w oczy zbyt blaskiem, harmonia barw i sprzętów przyjemnie działała na wyobraźnię, ustawienie sprzętów tchnęło wdziękiem i ożywieniem, w każdym pokoju znajdowały się kąciaki miękkie, przytulne, zdające się wzywać do słodkiego far niente, albo półciełej marzącej pogadanki. Pokój przeznaczony dla mnie i rozdzielony na dwie połowy arkadami w grube przystrojonemi firanki, był zarazem sypialnią i gabinetem. Zaraz od wejścia można było poznać, że przeznaczono go na pomieszknię młodej panny, tak wszystko w nim było miłuchne, świeże, i dziewicze.

Pływał on cały w blado różowej barwie, rzucając się od obicia mebli i firanek, a oświetlała go z góry wielka lampa migocąca mnóstwem kryształowych wisiorów, ze światłem potrojonem dwoma naprzeciw siebie wiszącymi zwierciadłami. Przebiegając piękne mieszkanie patrzyłam na wytworne meble z hebanu i mahoni, zdobne w rzeźby i kosztowne obicia, przeglądałam się w licznych zwierciadłach, zawieszałam wzrok na wyłożonych gwiazdach i jasstrzebiach podnoszących nad oknami i drzwiami ciężkie firanki, stapałam po puszystych kobiercach lub posadze w misterne ułożonej kwadraty, a przytem wszystkim myślałam: gdzież jest ta majątkowa ruina mojej matki o której tyle słyszałam? Czyliż zrujnowani ludzie mogą podobne urządzać sobie mieszkania? Wszakże to wszystko ogromną kosztować musiało sumę, dodając szczególnie parę rosłych i pięknych powozowych koni, którą za nami do miasta przyprowadzono, liberję dla służby suto galonowaną z bogatemi futrami do wyjazdu; liczne sztuki zakupionych rozmaitych materji, z których jedno powierzone już były zręcznym rękóm Warszawskiej garderobny Zosi i jej pomocnic, inne miały być nazajutrz oddane modniarce, aby z nich uszyła suknie codzienne, wizytowe, obiadowe, balowe, ranne, południowe, wieczorowe i. t. d. Jakim sposobem moja matka będąc jak sama mówiła zrujnowaną, znalazła środki do zakupu tylu kosztownych rzeczy? Czyliż są wyrazy mające podwójne znaczenie, a ruina miałażby niekiedy być jednoznacznikiem zbytku? Takimi zajętą myślami siedziałam naprzeciw mojej matki w ślicznym gabinecie, przy okrągłym stoliku z marmurową płytą ozdobioną barwistym bukietem z mozaiki, i przyrządzałam herbatę w porcelanowym serwisie na srebrnej umieszczonym tacy.

— Dla czego tak zamyśloną jesteś, Wacławo? czy ci nowe nasze mieszkanie do smaku nie przypadło? spytała moja matka z uśmiechem, który mówił, że pewną była iż mieszkanie urządzone przez nią każdemu podobać się musiało.

— Owszem, mam, odpowiedziałam uwielbiam smak i umiejętność, z jaką tu wszystko urządzić potrafiłaś... ale....

— Jakież ale?

— Myślałam nad tem, że kolosalną musiałas wydać sumę.... dokończyłam czując że się rumienię.

Rumieniec mój znalazł odbicie na twarzy mojej matki, której policzki zafarbowwały się różowo.

— Dla zdobycia znacznej w istocie sumy jakiej potrzebowało urządzenie się nasze w mieście, sprzedałam część tego pięknego lasu o którego spuszczeniu na swoją spławną rzekę tak bardzo marzył p. Henryk, odpowiedziała z uśmiechem, który jak mi się zdawało był nieco przymuszonym.

W większe jeszcze popadłam zamyślenie. Moja matka patrzyła na mnie z pewnym niepokojem i po chwili zaczęła mówić:

— Dziwi cię zapewne: że mając wielkie długi ciężące na majątku i nie posiadając żadnej gotówki, urządzam się tak zbytkownie. Ale widzisz pozycja jaką człowiek zajmuje w świecie od młodości, jest jakby suknią, która mu do ciała przyrosła. Zdjęcie jęj przynosi ból ogromny i dla uniknięcia tego bólu, człowiek łąta ją wszelkimi sposobami dopóki tylko może, a wtedy tylko łątać przestaje gdy dziury staną się tak wielkie iż niczem już zapełnić ich niepodobna, albo gdy podziurawioną suknię zedra ci od których pożyczone były szmaty na jęj łątanie.

— A wtedy cóż się staje z odartym człowiekiem? spytałam.

— Wtedy ze wstydu chowa on nagość swą w najciemniejszy kąt tego świata, bo bez sukni z którą

przez całe życie chodził po świecie, niepodobna mu już żyć między ludźmi, odparła moja matka z zachmurzonym czołem.

Po tej krótkiej rozmowie mileżałyśmy obie dość długo. Zdawało mi się, że pod sufitem gabineciek włożyły się ciemne chmurki i zakrywały sobą zdobiące go błękitne rozety, a bukiet z mozaiki na marmurowej płycie bledsze miał barwy. Srebrna taca przypominała mi wyszczerbione spodeczki na jakich u państwa Rudolfów podawano konfitury, poważny czarno ubrany kamerdyner, który właśnie w tej chwili przez pokój przechodził, wydał mi się zadziwiająco podobny do owego chłopaka niezgrabnego, co tam przedstawiał lokaja, a w najciemniejszy kącik pokoju tuliła się postać niewyraźna chowając się i kuląc ze wstydu a drżącymi rękami napróżno starając się łątać szatę, której złoczone łachmany opadały z jęj ciała.

Matka moja nie spuszczała ze mnie oka. Po chwili rzekła znowu.

— Nie obawiaj się jednak Wacławo, aby z nas prędko spaść miała ta suknia, jaką nosiłam całe życie i w jaką przybrałam ciebie, gdyś cię w świat, wprowadzała. Wprawdzie majątek mój w smutnym jest stanie, ale był on kiedyś bardzo znaczny, prawdziwie pański, a majątki takie podobne są do bardzo soczystego owocu. Zdaje ci się żeś wszystek już sok zeń wyssała, ale pociśnij dobrze a z pewnością kilka jeszcze kropel wypłynie. Zamożność dawnych domów była tak wielka, że ci co ją otrzymali w spadku, wielkość jęj najbardziej poznają po obfitości źródła, jakie im ona przedstawia w chwili, w której ratować się już potrzebują od całkowitej ruiny. Wielki majątek spadły mi po ojcu nadwęgżyłam mnięj zbyt, jak nieumiejętnością zarządzania nim i zbyt ufnoscią w ludziach, którzy mnię najniegodziwiej okradali i oszukiwali. Teraz w istocie gonię ostatkami, to jest ostatnimi szmatami majątku, łątam suknię wysokiej towarzyskiej pozycji, która mnię dotąd ani na chwilę nie odstąpiła. Ale ostatnich tych szmat wystarczy jeszcze na długo.

Dla ich zdobycia są jeszcze w lasach niesprzedane wysmukłe sosny i grube dęby, są oddalone od centrum majątku folwarki, które korzystnie sprzedać można szlachcie okolicznej, są w końcu srebra stołowe tak liczne, że większa ich połowa nigdy nie jest używana; jest skarbiec pełen staroświeckich sprzętów za które antykwaryusz jaki albo miłośnik pamiątek, mógłby znaczną ofiarować sumę, że już nie wspomnę o moich klejnotach i pięknych obrazach, które mój dziad a twój pradziad za wielkie pieniądze zakupił we Włoszech i Francji, bo był miłośnikiem sztuk pięknych i krocie na nie wydawał. Słowem są to w istocie ostatki ale ostatki bogatych ludzi, które jak mówi przysłowie, starczyłyby ubogiemu za dostatek.

Rzekłszy to matka moja wstała od stolika, i zaczęła wydawać służbie jakieś rozporządzenia.

Około północy weszłam do mego pokoju aby udać się na spoczynek, a odprawiając służącą i zarzucając na siebie penioar kaszmirowy, usiadłam w wielkim miękkim fotelu, który stał przy łóżku i głowę oparłam na obitej aksamitem poręczy. Zmęczona podróżą, półsenem rozmarzonym okiem wodziłam po pokoju. Światło wiszącej u góry lampy przyćmione matowym kloszem przykrywającym ją na noc, wpływało pomiędzy arkady i słało się u stóp moich po wzorzystym kobiercu, podobne do smug księżycowych promieni. Cztery pyzate aniołki w szafirowych rozwiwnych szatach wymalowane na suficie, zdawały się uśmiechać i potrząsać wiankiem róż który trzymały w ręku, obnażone ich ramiona i stopy odsłaniały od białego tła z miękką okrągłą

głosem kształtów. Od grupy wazonów ustawionych pod oknem, wymykała się delikatna woń kwitnącego heliotropu i harmonijnie łączyła się z delikatną także bladą różową barwą, jaką obleczone były ściany i sprzęty. Zupełną ciszę przerywał tylko łagodny tentent alabastrowego zegara postawionego na konsoli; z za firanki, która bladą różowąmi strumieniami spływała pośród arkad, wymknęła się muszka, kiedyś jeszcze znać latem tu zbłąkana, zabrzęczała w powietrzu, uderzyła się parę razy o sufit i poruszyła kryształowe u lampy wisior, które zadźwięczały głucho.

Zanurzona w ciszy, w pół świetle, eterycznej a upajającej woni przymknęłam znużone oczy, ręce bezładnie opuściłam na suknię, włosom pozwoliłam aby mi twarz opływały ipół we śnie, pół na jawie myślałam, że piękną, rozkoszną była ta szata o której mówiła moja matka, szata miękkości, zbytku, próżnowania i napowietrznych rojeń, że trudno było pozbyć się jej temu, kto się nią raz przyoblekł że..... Nagle zaszeleściło coś w fałdach firanki. Podniosłam powieki i zdało mi się, że widzę postać niewyraźną, tulącą się między arkady i drżącymi rękami podtrzymującą napróżno szatę połączoną, która szmata mi z niej opadała.....

Zerwałam się z fotelu i uczyniłam kilka kroków naprzód. Z pomiędzy fałd firanki wyleciała spłoszona moim poruszeniem muszka.....

Ale i moje słodkie rozmarzenie pierzchnęło, trwoniwie obejrzałam się do koła czy nie zobaczę w pół nagiętej postaci z której złocista podarta opada szata... Gdy zamknęłam powieki, nad głową moją unosiła się muszka drobna, a ja ścigając uchem monotonne jej brzęczenie pół senne snułam dumania.

— Czyliżby na dnie tych pięknych błyskotek prawda i szczęście leżały jedyne, że ludzie tak wysoko je cenia? Lecz jeśli tak jest, dla czegoż ci co je posiadają, tak często bywają smutni? Wszak w bardzo krótkiej jeszcze przez świat ten wędrówce mojej, widziałam już nieraz chmury na czołach ukoronowanych bogactwem i niespokojnie bijące serca okryte drogiemi szatami? Wszak już widziałam jak wielkie bogactwa służą jednym za środek do popełniania niesprawiedliwych czynów, innym wiodą na drogi zepsucia, błędów a potem znikając zostawiają nieszczęsnych na rozdrożu zwątpień i walk z niezamierzonym całkiem sumieniem, innym jeszcze stają się celem echiwego pożądania, rugując z ich piersi wszystko co szlachetne. Widziałam już bogate kobiety tęskne spojrzenie rzucające za siebie na przebytą drogę, na której ze szczęściem nie spotkały się ni razu, bogate dziewice z trwogą patrzące w przyszłość, w której serca ich nie widziały wysnionego w młodych rojeniach rajy bogatych młodzieńców, stojących nad przepaścią z próżnemi już rękoma, albo pływających po rozhukanych ocenach szarów i namiętności bez kierowniczego magnesu, albo wiecznie rozciągających ręce dla pochwycenia złota co im zastąpić miało święty ogień, którego iskry wygasły w ich piersi aż do ostatniej. A jednak wszyscy ci ludzie jedyne, najwyższe szczęście swe widzieli w tem co im w darze przynosiło tyle zawodów, niepokojów i skaz moralnych. Któż im tę sprzeczność wytłumaczy? Jak pojme tę zagadkę świata w którym żyję? Zapytałam że o nią matki mojej, towarzyszek młodych, mężczyzn co tak mądrze wydają się w salonach? Chórem odpowiedzą mi wszyscy: „Pozycja i komfort.” I z temi dwoma słowami wyrzuciłam w sercach, idą oni przez świat jak mużmanin ze świętem Amuletem na piersi, w którym tkwią wypisane słowa koranu: pozycja, to ta szata złocista, która zrasza się z ciałem człowieka, aby najczęściej w połowie drogi opadać zeń w szmatach skrwawionych! Komfort, to ten zbytek rozkoszny, który przed chwilą

mnie samą kołysał miękkością i wonią! Z pod szaty tej widnieje nagość wstydząca się siebie. Z rozkoszą zbytku mięsza się gorycz zwątpienia i niepokoju. Więc coż jest tu prawda? Więc gdzie jest tu prawda? Więc do czegoż tutaj uczepić mam wiarę mego serca, która w mej piersi rozpoczęła tak wcześnie bój ze zwątpieniem?

Muszka, która nad głową moją krążyła monotonnem swem brzęczeniem, dopomogła snuć się półsennej mej zadumie, zmęczona skryła się w fałdy firanki i umilkła.

Otworzyłam oczy i spojrzałam wokoło. Aniołki na suficie potrafiły swe uśmiechy, i smętnie zadumane patrzyły na się wzajemnie, niby pełne zdziwienia zadając sobie pytania. Pod niemi kryształowe wisior, błyszczały zimną bielą podobne do cypłów lodu, cienie od sprzętów stały martwo rozpostarte po ścianach, a obok nich mniej spokojnie ruszały się i migotały smugi bladego światła, jakby z trwogą umknąć pragnęły od czarnych sąsiadów.

A jednostajny tentent zegara szemrał z cicha w rogu pokoju, i coraz bardziej usypiającym zmysłom moim słał słowa mego ojca: Nie ufaj zbyt polyskom dziecię, i nie oddawaj im całego serca twego.“

XLIII.

Kto widział kiedy zawrotny długi taniec w którym przy grzmiących, napowietrznych, namiętnych tonach muzyki, ludzie wirują jedni na trzeźwo, inni w upojeniu a wszyscy szalenie biorą się za ręce łącząc się w pary, opuszczają się, rzucają na się wzajem grad spojrzeń i uśmiechów, zbliżają się znowu i znowu oddalają się pojedynczo każdy w inną stronę, aby się zejść na nowo i podać sobie ręce, i odebrać je raz jeszcze a do kogo innego wyciągnąć ramiona: kto widział kiedy taniec taki w którym jest wszystko, wesele udane czy prawdziwe, miłość istotna czy sztuczna, namiętność widoma czy tajona, łyzy wydobywające się przemocą z za uśmiechów, śmiechy głuszące, tajemne westchnienia. uderzenia serc, przyśpieszone gorączkowem wzruszeniem, rozdrażnieniem, niepokojem, radością, zwątpieniem, zawodem, kto widział tę mieszaninę rozlicznych uczuć i wrażeń, miotających ludźmi jak miota wiatr gęstą zaroślą trzcin chwiejnych porastającą rozłóg szeroki, ten może sobie stworzyć wyobrażenie, czem jest w wielkim mieście sezon zimowy, dla garści ludzi co się tam zebrali aby pokazać się, ubawić, skąpać serca i głowy w napojonej odurzającym narkotykiem atmosferze tłumu, gwaru i błyszczącego kameleonową grą barw światowego ruchu.

Nieprzerwanym hukiem kół turkocą powozy, brzęczy głucho bogata uprząż na karkach dumnie stępujących rumaków, szeleszczą jedwabie, powiewają wstęgi, przezroczyście koronki odślaniają nagość śnieżnych szyi i ramion, djamenty błyszczą wśród splotów warkoczy, sztuczne kwiaty sztuczną woń rozlewają, w salach balowych grzmi porywająca muzyka, w teatrach bajeczna syrena o czarodziejskim śpiewie wciela się w uroczą postać prima-donny, a przenikający głos tragika mistrza śle między tłumy widzów i słuchaczów prądy elektryczne, porywające ich wyobraźnię w tajemnicze a stasne światy dramatów ludzkiego żywota, i w przepaści głębie psychologicznej analizy człowieczego ducha.

Wszystko wre, kipi, burzy się, migocze; powiedziałyby że wszystkie istnienia wszystkich tych szalejących, wirujących ludzi, to wielka kula ognista, wiecznym ożywiona ruchem, napełniona jakimś życiem

niepowstrzymanem, w karby nie dającym się ująć, wulkanicznem.

Staraj się myślą pochwycić tę kulę, rozdzielić ją na dwie połowy jak orzech stłuczony, odrzuć skorupę zwierchnią którą ma wszelkie pozory słonecznego światła, i spojrz co się znajduje w środku.

Oto z jądra kuli wychodzą dwie postacie.

Jedna ubrana w złocistą szatę bogactwa całą i niewzruszoną, druga z trwogą, którą ukrywa pod maską wesela starannie przyklepioną do twarzy, podtrzymuje na sobie, łąta i zszywa szatę podobną lecz rozpadającą się w szmaty.

Jaka przyszłość czeka te obie postacie?

Pierwsza za chwil kilka porozdziera i niszczy świetną i całą teraz swą suknię, albo uczyni z niej twardą skorupę w której zasklepi się na wzór ślimaka; druga utraci ją całkiem pójdzie w ciemny kąt jaki, chować przed światem wstyd swój i nagość. Rzadko kto w tej wrzawie i błyszczącej gonitwie za nieznanem i nieokreślonym dobrze widmem, pochwyci szczęście istotne lub prawdziwe raz w twarz spojrz, lecz wszyscy co w niej uczestniczą na długo czy na krótko, znajdują upojenie.

I ja upojenie to znalazłam.

Zdawało mi się że zasnęłam, a czarnoksiężnik jakiś porwał mię na skrzydło ogniste i nosił po świecie zaczarowanym.

Dnie i tygodnie mijały z błyskawiczną szybkością, nie nie robiłam a nigdy nie miałam czasu; noc była mi dniem a dzień nocą, blade zimowe słońce wschodziło nad światem gdy zamykałam do snu oczy, a ustępowało z zenitu południe gdy je otwierałam. Potem znowu suknia, wizyta, gwarny obiad, przejażdżka, teatr, wieczór z tańcem i muzyką i znowu sen krótki, przerywany, pełen gorączkowych obrazów gorączkowej rzeczywistości.

Na wsi lubo także strój i zabawa stanowiły główną oś mego życia, bywały jednak całe dnie cisy; godziny rozmyślań. Tam, roztaczała się koło mnie natura bogata, w ogrodzie kwiaty rosły, po lasach ptaki śpiewały, na polach rolnik w sukmanie prowadził pług po zagonach, a w dali tęskno przegrzywała mu trąbka pastusza. Tam widać było całe sklepienie nieba, i jak po niem obłoki skrzydlate płynęły jak pod niem przeciągały stada ptaków swobodnych, a z tego wszystkiego wiały ku mnie świeżość i poezja, myśl moją budząc, rozgrzewając serce.

Tutaj, między wysokimi murami miasta, widziałam tylko ulice białym śniegiem usłane, gwarnych tłumów pełne nad dachami widniały tylko wązkie pasy szarego nieba; w nocy zamiast gwiazd przyswiecały ziemi żółte latarnie uliczne, a we dnie zamiast orzeźwiającem pół powietrza, oddychałam wonią perfum i dusznem ciepłem salonów, ogrzewanych hermetycznymi piecami.

Stopniowo zacierały się w mej pamięci przykre wrażenia, których tyle doświadczyłam niedawno. Bliska przeszłość pobladła w wyobraźni jak sen dawno prześniony, postacie babki Hortensji, Agenora, Rozalji, Henryka pojawiały się niekiedy we wspomnieniach moich, bardziej do snu niż do rzeczywistości podobne. Coraz rzadziej zadawałam sobie pytania, jakie wprzód nieustannie napełniały mi głowę: chwilami zdawało mi się, że wszelka myśl ustawała we mnie, a nawet i czasu nie miałam na porachowanie się z memi myślami.

Zdawało mi się że i matka moja uległa równemu prawie upojeniu. Wizyty, obiady, wieczory i bale zajmowały ją tak prawie jak i mnie. Był to pewno skutek nawyknień kobiety światowej, albo może myśl jaka wsteczna, która wśród wrzawy goniła za szczęściem dla mnie a kto wie? za zapomnieniem może dla siebie.

Parę razy tylko gdy zrana weszłam do jej pokoju, znalazłam ją z dłonią przy oczach i z głębokimi faldami na czole, raz nawet wydało mi się, że jakoby ślady łez na jej oczach dostrzegła, ale w parę godzin potem siedziałyśmy już obie w karecie, i jadąc na wizyty rozmawiałyśmy wesoło o paniach, które nam przychodziło odwiedzić.

Pewnego dnia weszłam niespodzianie do pokoju matki i ujrzałam ją rozmawiającą z żydem o długich pejsach i atlasowym chałacie, siedzącym u progu na brzeżku krzesła.

Miała chmurę na czole a silny niepokój migotał w jej oczach. Zdało mi się że po wązkich wargach żyda przebiegał uśmiech szyderczy. Z niecierpliwością jakiej nigdy w niej nie spostrzegłam, prosiła mnie abym odeszła, a żyd zaledwie w dwie godziny potem opuścił jej pokój.

Tego dnia nie wyjechałyśmy nigdzie i nikogo nie przyjęłyśmy u siebie. Wieczorem moja matka miała migrenę, a ja czułam się smutna i zaczęłam znowu myślać patrzeć w głąb siebie, i rzeczy które mię otaczały. Ale wśród tych rozmyślań weszła do pokoju garderobna Zosia, trzymając przed sobą bardzo piękny szal świeżo dla mnie nabyty, a za nią pojawił się szereg modniarek, krawców i kupców niosących towary....

XLIV.

Towarzyskie koło do któregośmy należały, składało się z kilkunastu domów istotnie zamożnych lub okazujących wszelkie zamożności pozory. Między niemi było kilka rodzin z którymi sąsiadowałyśmy na wsi, przybyłych jak i my na całą zimę do miasta. Do liczby tych należała także i pani S. z córkami. Odmowa jaką otrzymał odemnie p. Henryk nie nadwreżyła bynajmniej dobrych stosunków pani S. z moją matką, ani córek jej ze mną. Pierwszą starannie okazywała, że nie wie wcale o wydarzonym zajściu, drugie zaraz przy pierwszym ze mną spotkaniu uściśniły mię i szepnęły na ucho, że lubo domyślają się wszystkiego z kilku słów jakie wymknęły się ich bratu, niemniej jednak nie mają do mnie żadnego żalu i kochają mię jak dawniej. Śród wrzawy miastowej okropna nuda, która dręczyła panny S. na wsi w godzinach upływających pomiędzy ukończeniem toalety a przybyciem gości, lub wyjazdem w sąsiedztwo pierzchnęła: tak jak i ja nie one nie robiły a nigdy nie miały czasu, a lubo miejski sposób życia nie był dla nich taką jak dla mnie nowością, to przecież zbliżone do siebie wiekiem i usposobieniami, jednostajnego prawie doświadczałyśmy upojenia. Zenia zresztą za swym tryumfalnym rydwanem, przyciągnęła do miasta skrepowanego niewolnika, którym był p. Michał C. Nowiuteńki młodzieniec, jeszcze nowszym niż na wsi wydawał się pośród pełnego najwyższakuszej wytworności miejskiego towarzystwa. Błado błękitne jego oczy zwiększem jeszcze niż wprzód osłupieniem patrzyły na świat tak obcy dla niego niedawno, a długie ręce większego niż kiedy nabawiały go kłopotu. Zenia obchodziła się z nim tak, jak bogaty plantator południowych stanów Amerykańskich, pochodzący ze starożytnej familji francuskiej i pełen tradycyjnej elegancji dworu Ludwika XIV, obchodzi się ze świeżo wymanecypowanym i wzbogaconym murzynem, z którego rąk nie zniknęły jeszcze ślady mozolnego zbierania bawełny, i którego nogi z pełnem trwogi uszanowaniem stąpają po parkietach wielkiego pana. Z sarkastycznym wesołym uśmiechem wodziła Zenia p. Michała po wieczorach i balach, rozkazywała mu nosić za sobą wachlarz i chusteczkę, posyłała go w różne strony miasta z poleceniami do przyjaciół,

krawców, modniarek. P. Michał spełniał jej rozkazy z pokorą wiernego sługi, a blade jego oczy płonęły radością, gdy dzięki konkuroom o rękę wysoko spokrewnionej panny S. otwierały się przed nim podwoje licznych salonów, najpiękniejsze w prowincji nazwiska wpadały mu w ucho, a białe ręce ludzi zwanych w świecie arystokratami, dotykały się niezgrabnych rąk jego z których nie zniknęły całkiem ślady porannej doby życia, w jakiej ojcu pomagał wiązać siana składać na wóz drabiniasty. Lubo smutny to był wielce egzemplarz konkurenta, Zenia nie myślała wyrzekać się tego pierwszego tryumfu jaki ją spotkał na polu salonowej chwały. Zresztą zaczęła już rok dwudziesty, jeszcze lat parę a obok niezbyt ładnej powierzchowności i niepewnej cyfry posagu, liczba przeżytych wiosen stanie się kłopotliwa, i cichutko wprawdzie ale niezawodnie ludzie zaczęną wymawiać wyraz: stara panna, którego samo już brzmienie włosy podnosi na głowie. A nowiuteńki p. Michał nowiuteńko nabył majątek za milion blisko złotych: po mieście jeździł nowiuteńkim kocykiem, ze służbą odzianą w nowiuteńką liberję...

Pan Michał więc był dobrą partją *quand même*: Niezgrabne ręce jego znajdują po ożenieniu się punkt oparcia, którego nadaremnie szukają, a będzie nim w domu fajeczka na krótkim cybuszku, w gościnie talja kart preferansowych.

— Nazajutrz po ślubie wyjadę zagranicę i cały rok będę podróżowała, szepnęła mi raz Zenia w chwili zwierzenia się, a potem dodała: prawda że on bardzo niezgrabny i dziwnie pocieszny, z tem swoim pragnieniem wysokich i szerokich stosunków, ale cóż robić? Trudno o doskonałość na tym naszym biednym świecie!

Oprócz Emilki i Zeni przybyła jeszcze z rodzicami do miasta Helena piękniejsza lecz zarazem i bardziej blada i wiotka niż kiedy, młodzieńca Zosia, która jednocześnie ze mną wróciła z pensji i prawie takich jak były moje doświadczenia zdziwień, zwątpień i zachwytów, i kilku innych dobrze mi już znanych panien. Kilkanaście nowo poznanych i mniej więcej młodych towarzyszek, powiększało to nasze dzieciece bawiące się koło, a otaczało je równaż prawie liczba młodych mężczyzn, z których każdy był doskonałym tancerzem, grał na fortepianie, mówił po francuzku i nosił na szyi lornetkę. Wraz z pannami bawiło się i tańczyło kilka młodych mężatek, których mężowie wiecznie grali w karty albo bywali nieobecni, a pośród mężkiej młodzieży płało się dwóch czy trzech żonatych ludzi, o których żonach świat nie a nie nie wiedział, albo wiedział tylko tyle że egzystowały kędyś na ziemi, ale były chorowite albo niemłode, albo siedziały na wsi zajęte prowadzeniem domowego gospodarstwa.

Dwie te połowy towarzystwa męzka i żeńska, miały się do siebie tak, jak się mają ku sobie wzajem kłosa zboża na polu, które poruszane powiewem wiatru schylają się jeden nad drugim, szemrząc coś między sobą pocichu, potem odwracają się każdy w inną stronę, nowych przybierają towarzyszków, tych odrzucają po chwili i zwieszają głowy jak zmęczone lub upojone i wkrótce zdają się budzić na nowo, i na nowo rozpoczynają pełne rozkosznego szmeru kołysanie się w różne strony. Niekiedy jeden jakiś kłos pojedynczy przyciągnie do siebie inny sąsiedni, opasze go delikatną słomianą nicią, a kłosom towarzyszom zdaje się jakoby już ci obaj połączyli się z sobą na zawsze. Gdzie tam! z pod nieba przylatuje nowy powiew wiatru, słomiana nitka rwie się i pęka, kłosa nie spojone odpadają od siebie i chylą się na wsze strony, szukając kogoby znowu uwięzić przy sobie na chwilę.

W salonach mężczyźni i kobiety szukają się wzajemnie, rzucając sobie spojrzenie znaczące, półsłów-

ka, z których możnaby wysnuć całe tomy: ta temu od niechcenia rzuci kwiatek z balowego bukietu wyjęty, ten tej pełną pozycję i elegancję alluzją powie że jest piękna, rozmarzony uśmiech spotyka ogniste spojrzenie, uważne ucho posłyszysz westchnienie ciche niby przemocą wydzierający się z piersi: kwiat, wachlarz, fortepjan, barwa wstążek przemieniają się w symbole i hieroglify, w których wtajemniczone oko wyczytuje całą odmianę słowa: kocham! we wszystkich trybach, czasach i osobach. Te symboliczne, tajemnicze rozmowy, ten zagadkowy i działający na wyobraźnię stosunek kobiet i mężczyzn, stanowi w salonach główne tło na jakim roztacza się zabawa, przyprawa jej i powab. Zrazu patrząc na to wszystko myślałam, że wszyscy ci ludzie kochają się, że na dnie tego rozmarzenia i upojenia, była miłość tem prawdziwsza, że kryjąca się przed okiem świata, a mimowoli tylko objawiająca się w spojrzeniu, uśmiechu, cicho wyrzeczonym półsłowem lub symbolem pełnym poezji.

Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy po pewnym upływie czasu, jasno stanęło przed memi oczami, że nikt a nikt z tych ludzi nie kochał, a wszyscy bawili się tylko w miłość i na wzór mieszkańców wschodu, podawali sobie wzajemnie czary pełne narkotyku, mającego pobudzać wyobraźnię, a osłabiać siły serca i umysłu.

Helenka na przykład zajmowała się bardzo żywo panem Alfonsem, który miał w sobie tę oryginalność że sam głośno przyznawał się do tego, iż nigdy nie robił, nudził się i po całym świecie szukał rozrywki. Zdawało się, że Helenka postanowiła sobie wyprowadzić bladego młodzieńca z apatii, w której go pogrążyło wieczne *far niente*. Gdy wiedziała że go zobaczy, ubierała się w suknie fantastycznego broju i niepospolitej barwy, rumieniała się lekko gdy wchodził do salonu, dawała mu do rozwiązania zagadnienia pełne znaczącej treści, patrzyła na niego swemi wielkimi szafirowemi oczami, tak jakby w koło siebie nie widziała nic prócz niego, siadywała do fortepjanu i grała z uczuciem melodyjne wyjątki z oper, gdy on naprzeciw niej stawał i słuchając muzyki rzucał jej od czasu do czasu parę niedosłyszalnych innym wyrazów. Tak trwało parę tygodni, poczem przybył ze wsi żywy, dowcipny i wesoły Julian, a Helenka rozpoczęła z nim słowo w słowo tę samą grę jaką wiodła dotąd z p. Alfredem. Pan Alfred jednak nie zaraz ustąpił z placu i wraz z nowo przybyłym panem Julianem, ciągnął jeszcze czas jakiś tryumfalny wóz Helenki. Ale potem zmęczył się apatyczny młodzieniec pracą do której zabrakło mu już bodźca, i emigrował z salonów w których bawiły się kobiety, do gabinetów w których mężczyźni grali w preferans, a szczęśliwy jego następca Julian objął niebawem po nim urząd ministra bez teki, bo względy Helenki odziedziczył po nim pan Ignacy o romantycznych pozach i fantastycznie uczesanych włosach.

— Na miłość Boga, Helenko! mówiłam do młodej towarzyski gdyśmy się raz znalazły sam na sam, powiedzże mi którego z nich kochasz? Pana Alfreda, pana Juliana, czy pana Ignacego?

— Żadnego, odpowiedziała Helenka niedbale porabiając włosy przed lustrem. Czyliż nie widzisz, pierwszy z nich jest mumią bez życia, poruszaną sprężyną próżności; drugi, to dowcipniś któremu niebo nie udzieliło ani ziarenka soli Attyckiej; trzeci lalka z gipsu ulepiona w postawę bohatera a z wnętrzem tak próżnym, że się w niem parę myszy śmiałyby zagnieździć mogło. I jakże ty moja Waciu przypuścić mogłaś, abym ja co o mało suchot nie dostałam w gonitwie za ideałem, mogła pokochać którego z tych ludzi?

Słuchałam ją w osłupieniu.

— Moja Helenko! rzekłam po chwili, dlaczegoż więc ludziom o których podobne masz zdanie, dawałaś tyle oznak zajęcia i sympatii?

— Bawiłam się! odpowiedziała Helena chodząc po pokoju i najspokojniej oskubując kwiatek urwany z wazonu.

— Bawiłaś się! zawołałam. Ale moja droga, czyliż godzi się bawić z sercami ludzkimi?

Helenka stała na środku pokoju, popatrzyła się na mnie figlarnie i głośnym parsknięciem śmiechem.

— Wacławo! Wacławo! wołała między dwoma wybuchami śmiechu, jakie z ciebie dziwne "jeszcze dziecko! Bawić się z sercami ludzkimi. I ty myślisz że ci panowie serca swe w tę zabawę wkładali? Bądź spokojna minęły czasy Abellardów i Werterów. Nietylko żaden z nich nie wstąpił do klasztoru i nie zastrzelił się, ale nawet najłżejszego bólu głowy nie doświadczył. Widzisz przecie że jeden z nich pan Alfred, najspokojniej grywa już sobie w preferans każdego wieczora. Pan Julian nie będzie go naśladował, bo jest za żywy aby po kilka godzin przy zielonym stole przesiadywać, a preferans nie przedstawia pola do popisu w dowcipami; za to zwróci się on do tej naiwnej Józki, która każdy jego koncept oblewa łzami wśród śmiechu ronionemi i zaczyna przed nią palić kadzidła. Co zaś do romantyka pana Ignacego, przygotuj się do tego kochana Wacławo, że gdy dam mu odprawę, obierze sobie stanowisko naprzeciw ciebie i będzie cię podbijał pozami Greckich bohaterów, broniących przejścia przez Thermopile... Ha, ha, ha! i ty jeszcze mówisz o sercach? Pytasz czy godziwą jest taka zabawa? Mój Boże! a jakiż interes miałyby nasze zebrania, gdybyśmy się w podobny nie bawili sposób!

Dziwną wydała mi się ta mowa Helenki, ale jeszcze mocniej zostałam zdziwiona, gdy w kilka dni potem zobaczyłam pana Juliana rozsypującego najpiękniejsze swe dowcipy pod stopy naiwnej Józki, która je oblewała rześnistymi łzami śmiechu i gdy po upływie jeszcze pewnego czasu, pan Ignacy zająwszy u Helenki miejsce ministra bez teki albo zdyszgracjonowanego dworaka, w ciągu jednego wieczora usadowił się przedemnąż kolei w trzy różne pozy, z których jedna była wojownika, druga mędrca, a trzecia pasterza.

Owa naiwna Józka była dość majątną panią, przywiezioną z jakichś Antypodów alias z głębi najgłębszej parafii, przez ciotkę pragnącą ją dobrze za mąż wydać. Nieoswojona ze światem, bez maniery, nieśmiała, rumieniła się po uszy co chwilę i spuszczała oczy za każdym zbliżeniem się do niej mężczyzny. Mimo to miała bardzo zgrabną figurkę, piękne czarne oczy i koralowe ośmastoletnie usta, a że była wielką śmieszką ochota do śmiechu przemagała w niej często nieśmiałość, a wtedy wydawała się swawolnym i wesolutkiem, a wcale zajmującym dzieckiem. Otóż Józka zajmować się począł w towarzystwach pan Aleksander mający lat trzydzieści, znaczny majątek, twarz o regularnych rysach, usta z sarkastycznym wyrazem i głowę znakomitego pogromiciela serc kobiecych. Ciotka Józki nie posiadała się z radości, na widok pierwszeństwa jakie bogaty i modny pan Aleksander oddawał jej siostrzenicy, szanowna ta dama ubierająca się w amarantową suknię i żółte wstążki, była może już pewną że tuż, tuż bożek hymenu zaświeci przed jej pupillą pochodnię i grubo wyłaczana do tego, ale ludzie z powątpiewaniem kiwali na to głowami. Co do mnie, byłam zrazu zdania szanownej damy i myślałam, że pan Aleksander niezawodnie i na prawdę zakochany jest w Józce. W mniemaniu tem utwierdził mnie mocniej pewien wieczór, w czasie którego sławny pogromiciel serc kobiecych, ani na krok nie odstępował naiwnej parafianki i wszelkimi środkami wywoływał na u-

sta jej śmiech z którym tak jej było do twarzy. Raz nawet posłyszałam wypadkiem jak mówił jej, że nigdy nie był pod wpływem tak silnego wrażenia i widziałam jak Józka podniosła z nieśmiałością swoje piękne oczy i spotkała się niemi ze wzrokiem p. Aleksandra, i twarze obojga patrzyły na się długą chwilę z wyrazem wzruszenia. Tego wieczoru p. Aleksander tańczył z Józką cztery kadryle i dwa mazury, trzymał jej wachlarz, szukał nieustannie obok mnie miejsca a gdy tańczyła z kim innym, opierał czoło na rękę i miał minę człowieka dręzonego wściekłą zazdrością. Wróciwszy do domu rzekłam mojej matce.

— Pan Aleksander niezawodnie ożeni się z Józką.

— Być może, ale ja wątpię o tem, odpowiedziała mi matka. Nazajutrz siedziałyśmy same jedne w salonie, gdy oznajmiono wizytę pana Aleksandra.

— Dzień dobry panu, powitała go moja matka, et quand la noce? spytała po chwili żartobliwie.

Spojrzał się na nią z wielkiem zdziwieniem.

— La noce? wymówił, i z kimże to? s'il vous plait madame.

— Z panną Józefą, odpowiedziała ciągle żartem moja matka.

Sarkastyczny wyraz rozszedł się z pięknych ust p. Aleksandra po całej jego twarzy.

— Nie sądziłem, zaczął, abyś mnie pani o tak zły gust posadzić mogła....

— O zły gust? i dla czego? Przecie panna Józka jest bardzo miłą i przystojną młodą osobą....

— Zapewne, ale zarazem jest parafianką i posiada bardzo mierne umysłowe zasoby a zechcesz pani przyznać, że człowiek który ma jakiegokolwiek pretensję do świata i towarzyskiej pozycji, nie wiedziałby co począć z taką żoną...

— A jednak, ciągnęła żart moja matka, manifestujesz pan tyle sympatii i admiracji dla panny Józki...

— Mon Dieu! madame, przerwał p. Aleksander z pewnym ambarasem patrząc w głąb swego kapełusza, panna Józka jest tak naiwnem dzieckiem i tak parafianym swym układem od reszty pań się odróżnia, że może zaciekawić i zająć na chwilę... Ale, tylko na chwilę!.. obok tego przyznać należy że ma bardzo piękne oczy... gdybyż jeszcze w tych oczach była inteligencja której tam brak... zupełny brak!... Zresztą, il faut bien faire passer son temps! n'est ce pas madame?...

Po tej rozmowie p. Aleksandra pojechałam co prędzej do Helenki, a wbiegając do jej pokoju zawołałam.

— Kochana Helciu! daję tobie najformalniejszą absolucję z grzechu bawienia się w miłość. I mężczyźni jota w jota czynią to samo.

Tu opowiedziałam jej całą rzecz o Józce i p. Aleksandrze. Helenka obojętnie wzruszyła ramionami.

— Wcale mię to wszystko nie zadziwia, rzekła. Wierz mi że p. Aleksander bardzo jeszcze delikatnie i grzecznie wyraził się o Józce w obec ciebie i twojej matki, i że w kole mężczyzn nie będzie podobnie mierzył wyrazów a poprostu nazwie ją gaską lub cielátkiem, co znowu nie przeszkodzi mu wcale tańczyć z nią nazajutrz dwa mazury i cztery kadryle i osypywać ją ognistemi wejrzeniami i dwuznacznymi słówkami. Tacy to oni są, moja droga, a dla tego i my mimo woli i wiedzy często na takie same wchodzimy drogi. Byłe bawić się! Il faut bien faire passer son temps?..

— Czyliż koniecznie mamy w złych rzeczach naśladować mężczyzn? zapytałam.

Helenka podbiegła do mnie i pochwyciła za rękę.

— I cóż mamy robić? odrzekła z uniesieniem, powiedz cóż chcesz abyśmy robiły? Mężczyźni mają

otwarte sobie i przystępne pola nauk, gospodarstwa, przemysłu, spraw krajowych, literatury, a jednak nie widzą innego sposobu przepędzania czasu, jak ciągle przedrzeźnianie miłości i upajanie się wrażeniami, a cóż my będziemy robiły my kobiety, panny szczególnie? Salon i toaleta, toaleta i salon, oto ramy w których żyjemy jak obrazki. ustrojone w paciorki i blaszkę złoconą. Zrazu to zajmuje, później powszednie i nudzi. Obok sukni i pogadanek salonowych daje się poczuć potrzeba czegoś innego, a więc pragniemy miłości! A gdzie jej szukać? Mężczyźni teraz nie kochają, niewiadomo czy dla tego że nie umieją kochać, czy że nie mogą kochać nas takimi jakimi jesteśmy. Więc zamiast uczucia niech sobie będą choć przelotne wrażenia. Jeśli nie możemy czuć miłości to przedrzeźnijmy ją. A przytem tryumf, zadowolenie miłości własnej, interes każdego dnia i zebrania, ot i zabawa! Il faut bien faire passer son temps!

Smutna słuchałam słów Helenki i ze smutkiem odrzekłam:

— Helciu, ja się chyba nigdy bawić tak nie potrafię!

Popatrzała na mnie chwilę, potem rzekła.

— Bo ty Wacławo jesteś jeszcze w porannej porze życia, w której każda z nas tworzy sobie ideał i spodziewa się że znajdzie go pomiędzy ludźmi. Daj Boże abyś była szczęśliwszą od innych ale ja znam wiele, wiele kobiet które nigdy nie znalazły swego ideału, a zmęczone próżnemi gonitwami skwitowały z marzeń i poprzestały na pozycji, komforcie, tryumfach i bawieniu się w miłość. Nie jestem jeszcze starą, dzięki Bogu i dwudziesty drugi rok kończę dopiero, a jednak wiele już wiele ludzi podniosłam na wyżyny i straciłam z piedestału, a teraz to już i poprzestaję na bawieniu się, jedno tylko wiedząc z pewnością, że jeśli nie pokocham kogo szczerze i na serjo to nigdy nie wyjdę za mąż....

— Dziwna rzecz! zawołałam, dla czego nam żyjącym ciągle między takim tłumem ludzi, tak trudno znaleźć ten ideał którego pragniemy!

— Dla czego? wyrzekła Helenka z myśleniem i pociągnęła mnie ku oknu. Patrz, mówiła dalej pokazując palcem chodnik ulicy po którym rzadcy snuli się przechodnie, patrz, widzisz tego mężczyznę który tam idzie ze szlachetną twarzą i spokojnem czołem? Nie znam go, nie wiem kim jest, ale przypuszczam że może on właśnie dla mnie lub dla ciebie byłby tym ideałem którego pragniemy. I cóż ztąd? nie poznamy go nigdy, bo salony nasze przed nim zamknięte. Są one przybytkiem do którego nieuswięceni wchodzić nie mają prawa. Ten człowiek co tam idzie ulicą, to może mój ideał albo twój, ale on ku nam wstąpić nie może albo nie chce, my do niego nie wstąpimy same. On widząc nas zdala myśli że jesteśmy lekkimi pięknie ustrojonemi a pustymi wewnątrz, my jego wcale nie znamy dla tego, że rodzice nasi nie wiedzą kto go rodzi i jakie są jego dobra. On pójdzie sobie między kobiety które jak on mają szlachetne twarze i spokojne czoła i znajdzie między niemi swój ideał, my będziemy całe życie przedrzeźniać miłość, albo wcale za mąż nie pójdziemy, albo wybierzemy sobie męża w tej akademii nieśmiertelnych, w której gra w preferans pan Alfred, dowcipkuje pan Julian, pozuje na bohatera pan Ignacy, a grywa rolę pierwszego kochanka z komedji pan Aleksander....

Rzekłszy to Helenka zmęczona długiem mówieniem upadła na sofkę i mocno zakaszłała. Potem podparła głowę ręką i siedziała nieruchoma.

(d. c. n.)

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Bianka sumiennie zdała mu sprawę jak żądał. Sir Patrik wysłuchał opowiadania z wielką uwagą i potem namyśliwszy się rzekł:

— Kazałem zaprządz twojego kuca. Odprowadź mnie do stajen a po drodze wyłożę ci co czynić zamierzam.

— Będę sama stryja powoziła.

— Wybacz dziecko, ale to być nie może! Lady Lundie jest podejrzliwa, lepiej więc że tu pozostaniesz, bo ja zapewne wstąpię także do Craig Fernie. Za powrotem opowiem ci wszystko sumiennie. Nie uchylaj się od żadnej zabawy jaką zebrane tutaj towarzystwo zarządzi, a wtedy nie będą pewnie na moją nieobecność zważali. Bądź spokojna! powtarzam raz jeszcze. Dowiesz się zaraz co czynić zamysłam, i o ile opowiadanie twoje stało się pod tym względem dla mnie pomocnem. Mam dwie rzeczy na szczególną uwagę, to co zaszło w bibliotece, i to co zaszło w karczmie. Nie mam teraz dość czasu by wybadać, czy miss Silwester zemdląca z wycieńczenia, czyli też z innej zewnętrznej przyczyny.

— Z jakiej żeby to mogło nastąpić innej przyczyny?

— Nie wiem, ale mogło zajść coś takiego w tym czasie, gdy przy niej nie byłeś.

— Cóżby to stryja mogło być takiego?

— Mówię ci że nie wiem nic więcej od ciebie i tylko robię przypuszczenie. Skoro ona jest tak słabą jak twierdzisz, więc niepodobna ażeby ztąd daleko udać się mogła. Prawdopodobnie zatem zatrzymała się w którejś chacie wieśniaczej, albo znalazła wózek jaki, by do kolei dojechać.

— Będę się dowiadywała po okolicy w czasie nieobecności stryja.

— Trud to zbyt wielki dla ciebie, dziecko kochane. Nadto zwróciłaśbyś bezpotrzebnie na cały ten wypadek uwagę, zapytując w jednej, drugiej i dziesiątej chacie, a jeszcze i nie dowiedziałabyś się niczego.

— Dla czego?

— Znam ja dobrze szkockich wieśniaków, różnią się oni wielce od angielskich. Gdybyś zawitała do nich, przyjąłby cię grzecznie ale i pojeli zaraz, żeś do nich przybyła ażeby coś wykryć. Gdyby miss Silwester wstąpiła do nich dla wypoczynku, i prosiła by zamilczeli o tem nie skłoniłoby ich nie w świecie, ażeby zaufanie jej zdradzić mieli.

— Jakżeż się więc dowiemy o niej?

— Przypuszczam na pewne, że będzie starała się o ile można najrychlej strony te opuścić, a zatem udam się nasamprzód na stację kolei żelaznej.

— Pociąg jeden odchodzi za pół godziny, i nie zdążyłabyś...

— Może nie jest samą a może nie jest tak osłabioną jak sądzisz... Może jej mąż czekał gdzieś na nią, pospieszę więc zawsze na stację kolei...

— Zatrzymaj ją stryju...

— Już będę wiedział co uczynić skoro ją tam znajdę. Jeżeli zaś nie, to zostawię Dunkana na dworcu, by czekał na następne pociągi aż do ostat-

niego. Mówił mi, że ją pozna, i że na niego nie zważała nigdy. Jestem pewien, że Dunkan sprawi się dobrze. Jest on mojem factotum. Ale przypuszczamy, że miss Silwester gdzie najętym pojedzie powozem?

— Zkądżeżby go wzięła?

— U którego z dzierżawców. Kobiety częstokroć łatwiej sobie od mężczyzn poradzić umiej. A to jest rozumna kobieta. Radbym kogoś zaufanego postawić na straży tam gdzie rozchodzą się drogi: na kolój i w okolicę.

— Możeby Arnolda!

— Wyborny to chłopiec. Ale czy możemy być pewni, że dochowa tajemnicy?

— Jest on po stryju najpoważniejszym i najdoskonalszym człowiekiem, któremu wszystko powierzyć można. Opowiedziałam mu całą historję Anny prócz spotkania się z nią w bibliotece, bom do tego nie miała jeszcze sposobności. Zrobię to jednakże po odjeździe stryja, bo tęskno mi będzie i smutno bardzo. Ufam jemu, jak... jak stryjowi, jest on dla mnie wszystkim i oddany mi całkiem. Jakżeż więc stryj przypuszczać może, że nie dotrzymałby słowa?

— Nie jestem przedmiotem jego myśli jak ty moja Bianco, możesz zatem pod tym względem stanowczy sąd wydać. Niechżeż więc Arnold do tajemnicy przypuszczonym zostanie. Ja z mojej strony odbędę śledztwo w Craig Fernie.

— W karczmie? Czy zapomniawszy...

— Wiem! miss Silwester opuściła Craig Fernie, lecz zostawiła tam jakieś pismo o które mi bardzo chodzi. Mówiłaś mi przecie że list zgubiła jakiś?

— Tak.

— Posługacz hotelowy pokłócił się z gospodynią i odszedł.

— To i cóż ten posługacz?

— Dawny to mój przyjaciel.

— Przyjaciel?

— Zostawał kiedyś przecie w mojem biurze. Zmysłna to sztuka i ladaco wielkie, zwłaszcza gdy chodzi o funty i szylingi a zresztą nie ma złego serca. Zrobiłem wtedy także zabawne odkrycie. Przekonałem się że posiadał duplikat pieczętki mojej, i że coś tam miał do czynienia z papierami złożonymi u mnie, w skutek czego oddaliłem go natychmiast. Jeżeli przeto list ów nie ma żadnej wagi znajduje się pewnie w którymś kącie. Jeżeli zaś może przynieść korzyść osobie która go posiada, wtedy zrobiłbym zakład, że go Bishopriggs zagarnął.

— Ale on oddał się na nieszczęście!

— Zwłoka to tylko chwilowa. Jest on tam osobistością potrzebną bardzo, i gospodyni pogodzi się z nim zapewne. Muszę z nią pomówić, zapytać o niejedno i zostawię u niej do Bishopriggsa karteczkę. Jeżeli list ten w jego znajduje się ręku, będę go miał z pewnością. Teraz powiedz mi jak miss Silwester jest ubrana, ażeby zapytując po drodze mógł ją opisać.

— Ma kapelusz słomkowy z bukietem z bławatków i białą gazową przy nim zasłonę. Bukietek przypięty z boku, bo to jest modniej...

— I cóż dalej?

— Szal popielaty i suknię z białej piki...

— Dość już! Kapelusz słomkowy z bukietem z boku, biała gaza, szal popielaty. I otóż jesteśmy przed stajniami. Wiesz przecie co masz zrobić?

— Wyprawić Arnolda przedewszystkiem na rozstajne drogi — odrzekła Bianca z lekkim uśmiechem z gry słów tak nieumyślnie złożonych.

— Tak dziecko moje, bardzo dobrze. Masz zdolność wielką do przyszłych rządów w twojem królestwie domowem. Arnold nie będzie zapewne niczem więcej, jak tylko konstytucyjnym małżonkiem, a tacy zaprawdę są najszcześliwsi. Za powrotem

moim jeszcze pomówimy. Dunkanie, czy zabrałeś wszystko jak poleciłem, i wykaz pociągów także? Będziesz mnie powoził bo ja myśleć muszę. Bądź zdrowa, Bianco! Dunkanie! popędzaj kuca na stację. Dalej-że dalej!

XXIV.

Wolancik w bramie zaturkotał. Psy zajadle zaszczekały, sir Patrik skinął jeszcze ręką i Bianca na dziedzińcu pozostała sama. Przystanęła chwilę i pogłaskała psy zaniepokojone, bo i one dąsały się może że w domu także pozostać musiały. Potem zwróciła się nagle wspomniawszy o poleceniu stryja i drogach rozstajnych, i jakoby na zawołanie spotkała Arnolda już o kroków kilkanaście, wysłanego po nią przez lady Lundie!

Jakiś znać duch przekory natchnął panią domu nagle zamiłowaniem historycznych starożytności. Udzieliła go także i gościom swoim, bo ułożono w nieobecności Bianki, przejażdżkę do ruin zamku po feudalnych baronach, w niedalekiem znajdujących się sąsiedztwie. Szczęściem, że wycieczka ta prowadziła na zachód, gdy sir Patrik wybrał się w górską na wschód okolicę. Jedni z gości mieli przyjechać konno a drudzy powozami.

Lady Lundie spostrzegła, że brakuje pana Delamayn, Bianki i sir Patrika, z czego była bardzo niezadowolona. Arnold namawiał zatem narzeczoną, by wracała co rychlej i przyjęła miejsce w powozie.

— Musimy okazywać wielkie zajęcie dla tych feudalnych starożytności rzekł i będziemy wspierali się nawzajem. Jeżeli pozwolisz Bianco, to i ja wsiądę do powozu lady Lundie.

— Są ważne powody dla których winnam wszelkie zachować względy, więc pójdę. Ty wszelako musisz się od tej przejażdżki wymówić.

— Dla czego? zapytał Arnold zdziwiony.

— Dla czego? powtórzyła bo tak pragnę i żyję sobie.

— Wiesz przecie że chciałbym zawsze wszystko tak robić jak pragniesz moja ukochana Bianco.

— Czyliż mnie rzeczywiście tak bardzo kochasz?

— Bianco! Bóg widzi! Bóg słyszy! Jesteś dla mnie światem całym! Droższą mi nad życie!

— Och, bom ja taka niespokojna, znekana... a jedyną moją pociechą, wiara w twoje serce. Potem opowiedziała mu wszystko co zaszło w bibliotece, i niezmiernie była mu wdzięczną, że podzielił jej niepokój i smutek. Twarz jego wyrażała najwyższe współczucie, bo aż pobladł i zmienił się, czem jeszcze więcej ujął sobie Biankę.

— Ale jakżeż ją sir Patrik odszukać myśli? zapytał, wysłuchawszy całego opowiadania.

Bianka powtórzyła mu słowa stryja i żądanie jego co do straży na rozstajnych drogach. Arnold odetchnął swobodniej przekonawszy się, że go przecie do Craig Fernie nie wysła. Przyrzekł więc wykonać wszystko czego od niego zażąda, a zarazem i święcie tajemnicy dochować. Udał się potem do salonu, gdzie ich lady Lundie lodowatę powitała wejrzeniem. A gdy ją Arnold przeproszał, że od przejażdżki uchylić się musi, odrzekła mu z wyszukaną grzecznością:

— Jak panu dogodniej tak zrób! Może poszukasz przyjaciela swego pana Delamayn, który z taką namiętnością oddał się przechadzce, że nawet na śniadanie nie poczekał. Sir Patrik gdzieś także ekwipażykiem Bianki pojechał. Nie chcę narażać się nikomu, i ty Bianco możesz także czynić co ci się podobna. Te ruiny są wprawdzie najpiękniejszymabytkiem z czasów feudalnych w Pertshire, jednak nie

zmuszam nikogo do zwiedzenia tej starożytnej pa-
miątki. Mogę nawet i sama pojechać, bo dusza mo-
ja jest królestwem mojem, jak mówi poeta.

Na te żale Lady, pierwszym był doktor który oświad-
czył, że gorąco pragnie zwiedzić historyczne zwali-
ska, chociaż w duszy swojej wszelkiej nienawidził ru-
iny. Bianka prosiła by ją Lady do swojego zabrała
powozu. Smith i James pragnęli także powozem po-
jechać, a pierwszy, drugi i trzeci konno. Uśmiech
zadowolenia powrócił na sposepniałe lica pani domu.

— Idę po opis ruin odezwała się, ażeby dozorca
nie dać bezpotrzebnie szylinga. Zabierajcie się więc
państwo co rychlej.

Poszła do swojego pokoju, a wychodząc z niego,
spojrzała się raz jeszcze w zwierciadło, by przyjrzeć
się w niem własnej osobie, której przesłicznie było
w nowym kapeluszu paryskim. W tym czasie Bian-
ka znak dała Arnoldowi, by pośpieszył na stanowi-
sko swoje gdzie krzyżowały się drogi.

Po jednej stronie było pole otwarte, zielone, uma-
jone krzewiną, po drugiej zabudowania folwarczne
kamiennym opasane murem. Tutaj więc usiadł Ar-
nold na pagórku obrosłym trawą, zapalił cygaro i za-
czął rozważać tajemnicze ukazanie się Anny i nastę-
pne jej tak nagłe zniknięcie. Myśląc tak przyszedł
wreszcie do wniosku, że Delamayn poszedłby wi-
dzieć się z Anną, że ona w tymże samym czasie do
Windygates przybyła, a dowiedziawszy się że tam
jest Godfryd zaniepokoiła się bardzo sądząc, że zape-
wne minęli się w drodze. Poczem miss Silwester po-
śpieszyła do Craig-Fernie lub też w inne jakie miej-
sce, gdzie przypuszczała że zastanie Godfryda.

Upłynęło pół godziny gdy go lekki doleciał tur-
kot. Powstał, popatrzył i poznał wolancik Bianki
z kucem: Sir Patrik powoził się sam, a zobaczyw-
szy Arnolda przystanął.

— A! zawołał. Jesteś tu? bardzo dobrze. Czy
nie zaszło co nowego?

— Nic, a czy pan dowiedział się czego.

— Także nic. Byłem na stacji i pozostawiłem
tam Dunkana.

— Myślę, że ona raczej poszła do Craig Fernie.

— Być może. Jadę tam właśnie by wybać co
mi potrzeba. Nie wiem jak długo zabawię, a jeżeli
Biankę zobaczysz pierwój ode mnie, to jej powiedz,
żem prosił nadzorcę kolejowego by mi doniósł zaraz
dokąd miss Silwester, jeżeli się zjawi, bilet sobie ku-
pi. Nie będziemy przeto potrzebowali czekać na
telegram Dunkana. Wiesz przecie co tu masz ro-
bić?

— Objaśniła mnie miss Bianka.

— Uczyń dobry użytek z oczów swoich, a nabra-
łeś zapewne wprawy na morzu. Czyliż i tam przy-
zwyczaiłeś się do tego fatalnego kurzenia tytoniu?
Będziesz miał przynajmniej rozrywkę: dzień jest
prześliczny. Gdyby się miss Silwester zjawiła, nie
zatrzymuj jej, ale pomów jak gdybyś ją przypadko-
wo spotkał. Uważaj jednak dobrze jej towarzysza
i wózek. Puh! jakież twoje cygaro to cudne, zatu-
rwa powietrze. A cóż się dzieje z twoim marynar-
skim apetytem?

— Zapewne razem będziemy obiadowali.

— Spotkałem też na dworcu ową sławną kuchmi-
strzynię, Estere Dethridge. Opuściła służbę w Win-
dygates i jedzie do Londynu. Pożniawała się na
nią pani bratowa z wielką szkodą naszego zepsutego
smaku. Dałem jej mój adres londyński, bo kobieta
która dobrze gotuje a nie gada wcale, jest zaprawdę
niewieścią doskonałością. Więc nie wypuszczę tego
skarbu z rodziny. No, do widzenia!

Podali sobie ręce, sir Patrik targnął lejcami,
skręcił ku Craig Fernie i kuc szybko pobiegł w dal-
szą drogę.

W przeciagu godziny minęło czuwającego Arnol-

da kilku pieszych przechodniów, wóz jakiś obładowa-
ny i gig ze starą wieśniaczką. Nudząc się począł
chodzić tam i na powrót, jak żołnierz na warcie.
Po chwili dojrzał znowu jakiegoś pieszego w oddali.
Posunął się zwolna naprzód, gdy tamten zbliżał się
ku niemu coraz szybciej. Arnold zaczął poznawać
siłę jego chodu, odgłos stopy... tak: to był on: boha-
ter przyszłych wyścigów pieszych Godfryd Delamayn.
Widocznie powracał do Windygates. Arnold po-
biegł ku niemu, Godfryd przystanął i wsparł się na
lasce.

— Czy słyszałeś co zaszło w Windygates? zapy-
tał Arnold.

Twarz Godfryda wyrażała nieufność, czego Arnold
zrozumieć nie mógł, i wyglądał jak człowiek, który
się na zaczepkę przygotował.

— Czy cię spotkała jaka nieprzyjemność? zapytał
Arnold.

— To i cóż zaszło? zapytał Godfryd, nie zważając
na pytanie Arnolda, głosem podniesionym i patrząc
się groźnie.

— Miss Silwester była w Windygates.

— Któż ją widział?

— Bianka tylko.

— No i cóż?

— Była słabą nadzwyczajnie, wycieńczoną, zne-
kaną i biedaczką w bibliotece zemdląca.

— Cóż dalej?

— Bianka ją otrzeźwiła, byliśmy właśnie przy
śniadaniu.

— Czy narobiło się wrzawy w domu?

— Nikt o tem nie wie, tylko Bianka.

— I ty! a zapewne i inni jeszcze.

— Sir Patrik, zresztą nikt więcej.

— No i cóż potem?

Arnold zamilkł przypomniałszy sobie, że był zo-
bowiązany do tajemnicy. Nadto i dziwny wyraz
twarzy Godfryda nie zachęcał go wcale do otwartości.

— Nic — odrzekł po małej chwili.

Godfryd utkwiał koniec laski w miękką ziemię głą-
boko, wyciągnął go jednak zaraz, spojrzał na Arnol-
da i wyrzekłszy: dzień dobry! poszedł dalej.

Arnold pobiegł za nim. Spojrzeli sobie w oczy
w milczeniu: Arnold przerwał je pierwszy.

— Cóż się dzieje z tobą Godfrydzie? Jesteś in-
nym zupełnie, zapewne zminąłeś się z miss Silwester.

Godfryd milczał upornie, a wyraz twarzy jego co-
raz wydatniejszą oznaczał nieufność.

— Dla czego mi nie odpowiadasz? zapytał Ar-
nold.

— Bo już dosyć mam tego.

— Czego?

— Tych nudów. Miss Silwester mnie obchodzić
powinna ale nie ciebie.

— Mój Godfrydzie, nie zapominaj, że zostałem w
tę sprawę wpłatanym mimo własnej woli.

— Trudno o tem zapomnieć, bo mi to ciągle
w uszy kładziesz bezprzestannie.

— Tobie?

— Tak jest, ciągle mi dowodzisz że jakiś obo-
wiązek względem ciebie zaciągnął. Niechaj djabli bio-
rą tę przysługę twoją, mnie ona już kością w gardle
stanęła.

— Gdy oprzytomniejesz — ozwał się Arnold sil-
nie podrażniony co mu zdarzało się rzadko — przy-
pomnę sobie dawne czasy i przebaczę ci chętnie.
Teraz wszelako, idź sobie z Bogiem i daj mi pokój!

Godfryd zaciął zęby, i przystąpił doń bliżej, Ar-
nold spotkał groźne Godfryda spojrzenie z zimną
krwią i bez trwogi, chociaż był słabszym od niego
fizycznie.

Jedyna ludzka cnota, którą Godfryd umiał ocenić
była osobista odwaga. Widział ją tutaj uosobioną
w słabszym od siebie o wiele, co spowodowało że

gniew pohamował, odwrócił się nagle i odszedł w mil-
czeniu.

Arnold pozostał w miejscu jakoby ciężkim dotknię-
ty razem. Przyjaciel który uratował mu życie, naj-
dawniejszy z lat szczęśliwej młodości, obraził go do-
tkliwie, gburowato i oddalił się bez najmniejszej
oznaki żalu. Młode jego serce, proste, pocziwe,
było aż do głębi zranione. Spojrzał, postać God-
fryda oddalała się szybko i po chwili znikła w mgli-
stym przestrzeni. Arnold zacisnął dłońmi oczy z pe-
wnem uczuciem wstydu, bo łyzy gorące, gorzkie, lica
jego zalały. W miejscu w którym czuwał, cztery
krzyżowały się drogi: jedna prowadziła do kolei,
druga do miasteczka, trzecia do Craig Fernie,
a czwarta do Windygates. Gdy Godfryd już w da-
lekiej zniknął przestrzeni, a oczy Arnolda jeszcze
łyzy zapełniały, otworzono wrota folwarku i z podwó-
rza lekki wytoczył się wózek. Niemłody mężczyzna
popędzał konie, był to dzierżawca a przy nim sie-
działa miss Silwester. Wózek skręcił ku miastecz-
ku na zachód gdy Godfryd biegł na północ. Arnold
patrzył się za nim a wózek tymczasem zniknął po-
za folwarkiem.

Sir Patrik trafnie zatem wyrzekł, że kobiety ra-
dzić sobie umieją, bo miss Silwester potrafiła za-
ufanie dzierżawcy pozyskać, skoro ją sam do mia-
steczka odwoził; uniknęła spotkania z Godfrydem,
i uchyliła się z pod straży Dunkana na dworcu kolei
żelaznej.

XXV.

Po wyjeździe pani domu z gośćmi, służba w Win-
dygates wybiegła do ogrodu, by poigrać sobie jak
myszy w nieobecności kota, gdy nagle ukazanie się
pana Godfryda Delamayn przeszkodziło ich zabawie.
Udał się wprost do pokoju przeznaczonego do pale-
nia tytoniu, zawołał o butelkę Ale, rozsiadł się
w wielkim krześle poręczowym, zapalił fajkę i po-
czął dzienniki przeglądać. Nie mógł jednak długo
czytać, bo myśli jego zbyt żywo zajmowały dnia te-
go wypadki, chociaż wszystko pokierowało się szcze-
śliwie dla niego po nad wszelkie oczekiwanie, sir
Patrik, Arnold i Bianka wiedzieli, że Anna w jakimś
nieszczęsnym położeniu zostaje a jednak ściśle za-
chowali tajemnicę. Co przecie było najdziwniejszą,
że Anna nie zawodziła głosnych po nim żalów, że nie
narobiła wrzawy, a wreszcie uciekła jednem nie-
zdradziwszy go słówkiem. Przypuszczał oczywi-
ście, że Bianca, sir Patrikowi i Arnoldowi zależało
na tem, ażeby lady Lundie o tej nowej ucieczce An-
ny nie dowiedziała się. Przypuszczał także bardzo
słusznie, że przerażona Anna przekonaniem, że mo-
że stać się nieprzeparą przeszkodą do ślubu
Bianki z Arnoldem, postanowiła skryć się w jakimś
dalekim świata zakątku i już więcej w te strony nie
wrócić. „Jeżeli więc Anna — wyrozumował so-
bie — ” pragnie trzymać język za zębami, to i ja
tego pragnę. A zatem koniec na teraz całej tej
awanturze. Mówiąc to wyciągnął nogi dla wypo-
czynku na drugie krzesło, i nałożył sobie fajkę na
nowo. Nie lękał się już teraz Anny, nie obawiał
się zapytać Arnolda a nawet był kontent, że się
z nim powaśnił. Któżby jednak pomyślał, że on
ma w sobie tyle prawdziwej odwagi. Oddając
sprawiedliwość Arnoldowi pochwalił zarazem siebie,
że tak zręcznie potrafił natrętnego pozbyć się przyja-
ciela.

W godzinę później sir Patrik powrócił. Był za-
dumany, ale nie w złym humorze, bo jakkolwiek raz
po raz niuszek zażył tabaki, to przecie nucił swoją
ulubioną piosenkę szkocką. Bytność zatem jego

w Craig Fernie musiała odbyć się pomyślnie. Wszedł do biblioteki i zadzwonił. Lokaj zjawił się zaraz.

— Czy pytał się kto o mnie?

— Nikt, sir — odrzekł służący.

— A listów, nie masz?

— Nie ma żadnych, sir.

— Chodź do mojego pokoju i pomóż mi zdjąć suknie.

Sir Patrik pragnął spoczynku po nużającej przejażdżce i włożył swój ubiór ranny.

— Czy miss Lundie jest w domu? zapytał znowu.

— Nie, sir. Wszyscy pojechali stary zamek zobaczyć.

— Daj mi filiżankę kawy. Może zdrzemnę się więc zbudź mnie na pół godziny przed objadem.

Po kawie sir Patrik położył się na sofie.

— Oj, oj! Krzyż boli, nogi pocięły — wymówił sam do siebie i kucyk pewno zmęczył się także. Mimo tego zanucił sobie znowu, a potem zasnął wśród ciszy żadnym nieprzerwanym szmerem.

Tymczasem towarzystwo wróciło z przejażdżki, ale wszyscy z wyjątkiem przewodniczki, nie zbyt wesołe z sobą przywieźli usposobienie. Smith i Jones nawet zaniemówili całkiem.

— Doznaliśmy wielkiego zajęcia — odezwała się lady Lundie do Godfryda, uśmiechnięta wdzięcznie — straciłeś pan wiele, żeś nie był z nami. Na raz drugi, zanim pójdziesz na przechadzkę, to powiedz mi pierwej.

Bianka, pełna niepokoju, pobiegła zaraz wypytac służbę o Arnolda i stryja. Pierwszy był w swoim pokoju na piętrze, drugi nie powrócił jeszcze. Czas naglił ażeby przebrała się do objadu a jednakże pozostała jeszcze w przedsiönku. Nie czekała wszakże długo, bo w kilka minut ulubiony zjawił się, lecz i on dziwnie pośpiesznie wyglądał.

— Czy ją widziałeś? zapytała go zaraz.

— Nie — odrzekł, w zupełnie dobrej wierze — nie przejeżdżała tamtędy, bo przecież byłbym ją widział. Musiała w inną udać się stronę.

I rozeszli się by zmienić ubrania.

Gdy przed objadem wszyscy zebrawali się znowu w bibliotece, Bianka niepokojem trawiona, przysunęła się zaraz do stryja i zapytała:

— Jakież nowiny?

— Dobrze dotąd.

— Znalazłeś stryja Annę?

— Niezupełnie.

— Posłyszałeś co o niej w Craig Fernie?

— Zrobiłem tam ważne odkrycie. Pst! Macocha twoja nadchodzi. Po obiedzie dowiesz się więcej, bo zapewne będę miał także wiadomość z kolei.

Towarzystwo i przy stole było dziś więcej milejące i nudne jak zwykle. Arnold siedział naprzeciw Godfryda i czuł dotkliwie zaszłość pomiędzy nimi nieporozumienie, sir Patrik uznawał brak Estery Dethridge. Z gorączkową niecierpliwością udała się Bianka z lady Lundie po obiedzie do salonu, gdy panowie wedle zwyczaju, przy winie pozostali jeszcze. Lady poczęła mówić o zamiarze zwiedzenia jutro znowu jakichś nowych zwalisk z czasów feudalizmu. Gniewało ją, że Bianka obojętnie słuchała jej wykładu o starych baronjach szkockich, istniejących przed pięćset latami, i nieco satyrycznie ubolewała nad tem, że nie ma z kim pomówić. Rozparła się majestatycznie na kanapie, oczekując zapewne jakiego inteligentniejszego słuchacza i rozmarzona widokiem oglądanej ruiny, niezadługo smacznie zasnęła. Drzemka ta połączona z lekkim chrapaniem zwołała Biankę od dalszego towarzyszenia macosze. Wyniosła się zatem pośpiesznie a zeicha, zostawiając echu przyjemność powtarzania bez przeszkody głośnych oznak spoczynku pani domu.

Bianka wbiegła do biblioteki i wyszła z niej znowu. Zajrzała przez drzwi uchylone do sali jadalnej i poszepnęła z dąsem: Kiedyż tam poprzestaną o tę politykę prawić i zapijać wino?

Udała się do swojego pokoju i włożyła inne kolczyki, gdy w tem spostrzegła w przedsiönku jak dwóch mężczyzn, z kapeluszami w ręku stało w półcieniu i szeptało z kredencierzem. Wkrótce ten ostatni wszedł na salę i powrócił niebawem z sir Patrikiem.

— Chodźcie tu! rzekł sir Patrik.

Dwaj mężczyźni wyszli z półcienia, byli to Dunkan i Murdach nadzorca kolejowy. Przynieśli więc nowiny o Annie.

— Och, stryju, pozwól mi tu pozostać, błagała Bianka.

Sir Patrik zastanowił się przypuszczając że mogą mieć złe wiadomości, skoro nadzorca sam przybył z Dunkanem. Bianka odgadując powód wahania się stryja, pobladła nagle, uczepiła się ręki jego i szepnęła:

— Stryju, na Boga! nie każ mi odejść! Przenieść wszystko potrafię! Niepewność jest stokroć gorsza niż wszystko.

— To mówcież! ozwał się sir Patrik do obojga mężczyzn. Znalazła się czy nie?

— Odejechała pociągiem w góry — odrzekł Murdach, ale wiemy dokąd się udała.

— Dla czego więc powróciłeś? zapytał sir Patrik Dunkana, — miałeś przecie udać się za nią.

— On nie nie zawinił, sir odrzekł Murdach, — bo dama ta wsiadła na kolęj w Kirkandren.

— A! zastanowił się sir Patrik. Stacja druga, miasteczko, źle żem na tę myśl nie wpadł.

— Znajac dokładny opis tej pani, zatelegrafowałem do Kirkandren. Otóż i telegram.

Sir Patrik i Bianka przeczytali: „Kirkandren, godzina 7 minuta 40. Dama oznaczona. Bez pakunku. Z torbą podróżną w ręku. Sama jedna. Bilet: klasa II, Edynburg.”

— Edynburg! powtórzyła Bianka, stryju, jakżeż ją tam odszukamy?

— Nie będzie w tem wielkiego kłopotu. Dunkanie, pióra, atramentu, papieru! Pan panie Murdach wracasz na stację zapewne?

— Tak jest, sir.

— Zatelegrafujesz zaraz bez zwłoki do Edynburga to co ci napiszę. Szeryf jest dawnym przyjacielem moim i zanim pociąg w Edynburgu stanie, będzie miał w ręku dokładny rysopis miss Silwester. Pod rozkazami jego najzdolniejsi zostają ludzie, proszę go przytem o rychłą wiadomość telegraficzną. Gdy ta nadejdzie, panie Murdach, prześlij mi ją natychmiast przez umyślnego. Dziękuję serdecznie za doznane trudy! Pożegnawszy Murdacha, zwrócił się następnie sir Patrik do Dunkana mówiąc:

— Dunkanie, idźże teraz na wieczerzę bo musisz być głodny. A ty Bianco droga, powróć do salonu. Nadejdę tam niebawem na herbatę. Dziś wieczór będziesz o przyjaciółce swojej miała wiadomość.

Po chwili zebrało się całe grono w salonie, lady Lundie ciągnęła dalej swój wykład o dawnych baronjach szkockich. Bianka w jednej chwili była przy stryju.

— Czekam gorączkowo na spełnienie obietnicy, szepnęła, cóż stryju wykrył w Craig Fernie?

Sir Patrik spojrzał się na Godfryda który w krzesle wygodnym drzemał na drugim końcu salonu.

— Po tem co już wiesz, czy nie zechcesz na telegram edyburgski poczekać?

— Och to niepodobna! Wszakże telegram nadejdzie dopiero za godzin kilka. Bianka usiadła na kanapie, naprzeciw Godfryda w drugim rogu i skinęła na stryja by usiadł obok: sir Patrik obiecał,

więc musiał słowa dotrzymać. Spojrzał raz jeszcze na Godfryda i zajął miejsce obok bratanki.

— No i cóż mój stryju? Co wykryłeś w swej wycieczce?

— Otóż — zaczął sir Patrik z satyryczno-humorystycznym wejrzeniem, mam popełnić niedorzeczność wielką, powierzając dziewczęciu ośmnasto-letniemu ważną wiadomość.

— Dziewczę ośmnasto-letnie potrafi temu zaufaniu zadość uczynić, zaręczam stryja.

— Doświadczę tego. Dowiesz się o wszystkim, ale przestrzegam, że się ogromnie zadziwisz. Czy umiesz panować nad sobą?

— Umiem.

— Zatem, przygotuj się na rzecz arcydziwną.

— Stryj poczynił jakieś odkrycia w Craig Fernie?

— Dowiedziałem się, że osoba, wtajemniczona doskonale w całą tę sprawę i posiadająca wiadomości które miss Silwester zataiła przed nami... jest...

— Gdzież jest ta osoba? zapytała trwożnie Bianka.

— W naszym sąsiedztwie, w tym pokoju.

Sir Patrik uściśnął jej rękę, ażeby nie krzyknęła z zadziwienia.

— Pokaż mi stryju tę osobę!

— Obejrzyj się w koło i powiedz mi kogo widzisz.

— Lady Lundie na drugim końcu salonu pochyloną nad mapą Perthshire'u. Mówi ciągle o starożytnych baronjach i słuchają jej wszyscy prócz nas.

— Czy wszyscy?

Bianka raz jeszcze popatrzyła w koło, i zobaczyła w rogu naprzeciw rozpartego w krzesle i śpiącego smacznie Godfryda.

— Stryju, przecież nie on?

— On. Właśnie, że on, moja kochana!

Bianka trzymając rękę stryja patrzyła się na Godfryda, jak gdyby oczów od niego oderwać nie mogła.

— Uważałaś moją z nim w bibliotece rozmowę i podejrzewałaś słusznie, że mi o jakiejś nieczystej mówił sprawie, którą ukrywałem przed tobą. Teraz więc wyjaśnię ci wszystko.

Po opowiedzeniu Biance wszystkiego co wiedział, czego się domyślał i jakie poczynił wnioski, sir Patrik mówił dalej:

— A teraz posłuchaj, czego dowiedziałem się w karczmie. Zażądałem z gospodynią rozmowy sam na sam i ta trwała długo, bo jako inkwirent, nie napotkałem nigdy jeszcze w żadnym świadku ile w niej tyle złej wiary, chytrych domysłów i przewrotności. Ale jej poradziłem i trafił swój na swe go. Pan Delamayn opowiedział mi okoliczność zaszłą pomiędzy przyjacielem jego a damą jakąś. Oboje zeszli się w hotelu, ale nie wymienili w którym i nazwali się mężem i żoną. Coś podobnego zupełnie miało miejsce w Craig Fernie, pomiędzy miss Silwester a panem jakimś tegoż dnia samego, gdy przyjaciółka twoja opuściła Windygates. Zniwoliła wymienić nazwisko swoje, podała się jako mistress Silwester. Cóż więc powiesz na to?

— Jestem niezmiernie zdziwioną i pojąć nie mogę...

— Zapewne, że to jest niezwykajny wypadek.

(d. c. n.)

O BIELIZNIE.

(Dokończenie.)

Kaftaniki z gęstego półbatystu, z klarowniejszymi bukami, przedzielane wstawką koronkową, miały na samym przodzie żabot z dwóch falbanek, oszytych koronką. Całość ułożonego przodu oszyta była płasko falbanką haftowaną. Rękawy paletotowe z mankietem szerokim na wierzchu. Inne kaftaniki z klarownego półbatystu, zdobiły zakładki i pliski przystembnowane. Najtańsze perkalowe garnirowane były falbankami.

Spódnica perkalowa powłóczysta do takiejże sukni, miała trzy falbany szerokie na półtory ćwierci; każda z nich uszyta brzegiem w 4 zakładeczki wazintkie, jedna nad drugą. Pierwsza falbana ma przyszyć przykryte listewką całowój szerokości. Odstęp gładki przeszedł na ćwierć łokcia, na którym w pewnych odległościach przyszywane niby liście z zakładeczek, ukośno kładzione, po brzegach zaokrąglone, dalej druga falbana, znowu liście, tak samo trzecia a nad nią także liście. Do niej odpowiedni kaftanik stanowił ładny negliz ranny.

Spódnica perkalowa do kostiumu miała szeroką falbanę u dołu przystembnowaną listewką, nad nią węższą następnie bukę w listewkę ujętą, a przy niej jeszcze węższą falbaneczkę w górę daną.

Podobały nam się bardzo poszewki z cienkiego płótna, podłożone grubszym płótnem do koła szlaku. Na wierzchniej stronie odrysowany desen w kwiaty i liście i po tym deseni dolne płótno przystembnowane na maszynie. Dalej w rękę każdy liść i kwiatek, po za stembnowką obrobiony, wydatnymi supełkami. Próżnia pomiędzy deseniem wycięta ostrożnie, co czyni ten desen matowym. Prześcieradła, małe poszeweczki robią się stosowne. Poszewki te prześcieradła wyglądały na niebieskich podwłóczkach.

Praktyczny bardzo czepek nośny skrojony w guście chłopki, tylko że w żąb na przodzie, ogarniowany był aż do uszu falbaneczką, podwójną wążką, nakrytą listewką, z pod której trzecia falbaneczka szła do góry. Z tyłu jak się kończy garnirowanie czepek, dany był szeroki obrąb lub podlistwowanie do nawleczenia, czterociałowych bandaży dowolnej długości, które można wiązać zarówno z tyłu, pod brodę lub na wierzchu głowy.

Chusteczki do nosa batystowe trzy ćwierciowej wielkości, miały obręb na półtora cala szeroki, stembnowany. W jednym rogu tarcze haftowane kolorami jedwabiami lub biało, do umieszczenia cyfer.

Chusteczki batystowe dochodzą do ceny 15 rs. za sztukę, niepodobna szczegółowo opisać je, lecz trzeba podziwiać niewyczerpane pomysły w wykonaniu haftu i niesłychaną cierpliwość odrobienia. Jest także ogromny zapas kołnierzyków i rękawków, od najprzystępniejszych cen aż do bardzo wysokich, stosunkowo jednak nader umiarkowane ze względu, na przepyszne wykończenie roboty. Najwybredniejsze zwolenniczki wykwintnej bielizny, mogą zupełnie w magazynie pana Sokołowskiego zaspokoić swoje wymagania.

Dla przejrzenia toalet wiosennych zwiedziliśmy także magazyn pp. Kuhnke i tam widzieliśmy rozmaite ładne kołnierzyki, krawatki, żaboty. Najwięcej nam się podobał kołnierzyk Nilson zwany. Prosty kawał bengalu, mniej więcej półtory ćwierci szeroki a półtora łokcia długi, układa się w głębokie małe fałdki, z jednej strony fałdki te przepinają się haftowanymi gwiazdeczkami oszytymi koroneczką w odległości jak na dłoń. Druga strona kołnierzyka wycina się w dość duże i głębokie okrągłe żęby, oszywane koroneczką. Na

samych jednakże plecach, przynajmniej na ćwierć łokcia szeroko, żęby te ścinają się co tworzy z tyłu niby gładki kołnierzyk z koroneczką, w górę którego z podwójnie złożonego bengalu, daje się w 6 kontrafałdek nakształt stojącego kołnierzyka falbana na 3 palce szeroka, zwiężająca się coraz więcej, po obu stronach przytwierdzona. Na przodzie kołnierzyk w połowie stanu, gwiazdką spięty, końce ścięte i oszyte koronką jak u chusteczki. Cena 2 rs. kop. 25. Na ten sam użytek są chusteczki Marie Antoinette, większe i mniejsze z bengalu lub muslinu, oszyte koronkami malines albo Bruges od 2 do 7 r. sr.

Rozmaitego rodzaju żabotki, krawaty w kształcie liści, motyli, ładnie i brzydko nazywające się n: p: ośle uszy od ceny kop: 60, do rs. 4.

Przestajemy na opisie tym, nadmienając tylko że do N. 14 Tyg. Mód podamy ryciny najnowszych modeli bielizny, szmizetek, kołnierzyków oraz ich kroje, a teraz przejdźmy do sukien.

Z zielonej popeliny. Spódnica do ziemi ubrana trzema plisami. Tunika bardzo suto podpinana, w wielkie żęby, oszyta plisą i falbanką z jaśniejszymi wypustkami popeliny. Stanik gładki, karoczek przypinany z wielką kontrafałdą z tyłu. Rękawy suche jedne a drugie szerokie otwarte, w żąb przykrojone.

Suknia sukienka czarna. Spódnica gładka do ziemi. Do niej kaftanik ułożony z tyłu w trzy głębokie kontrafałdy. Dół kaftanika okrągławo ścięty w żąb. Przody tak samo, skrojone na przodzie, od pasa otwarte. Wszystko oszyte falbanką sukieną.

Suknia welniana koloru mlecznej kawy. Spódnica ubrana nadpowietrznym wolantem, zdobnym podwójną falbanką w gęste płaskie fałdki ułożoną, przedzieloną plisą z ałasu w szerokie pasy czarne i ciemno wiśniowe. Paletot z tyłu w długi śpiczasty żąb ścięty, w kontrafałd ułożony, na przodzie znacznie krótszy, przepięty paskiem i tak samo jak spódnica przybrany. Rękawy u pachy i u ręki odpowiednio przystrojone.

Ciemno granatowa popelinowa spódnica ubrana 3 plisami z jaśniejszą o wiele wypustką z tego samego mater

Opis do N. 12.

N. 1. Suknia z wolantami.

Układ ten wolantów i wąskich falbanek zarówno zastosowany być może do kostiumów z lekkiej wełnianej tkaniny, jak i do odświeżenia jasnych sukien jedwabnych. Przy kostjumie falbany mogą być w kolorze sukni lub w odcieniu ciemniejszym; kaftaniczek krótki, dopasowany do figury lub stanik z karoczką dopełnia ubrania. Do jedwabnych zaś sukien dodane w odpowiednim kolorze falbany z grenadyny, tarlatanu, gazy lub t. p. i z takiegoż materiału tłuzka lub berta i rękawy, odświeżają i podnoszą świetność wieczorowej toalety.

N. 2. Suknia ze stanikiem pod szyję.

Spódnica do ziemi, stanik pod szyję na guziczki zapinany, rękawy pół otwarte, oszyte frendzlą i pliskami. Mały wykładany kołnierzyk, zawiązany muslinową krawatką, mankiety płócienne.

N. 3. Stanik z potrójnym ranwersem.

Kołnierzyk o potrójnym wykładzie może być osobno wykrojony, lub tylko plisą i falbanką plisowaną na staniku odznaczony. Taką falbanką stanowi epolety, szersza mankiety u rękawa. Plisowana muslinowa szmizetka i odpowiednio rękawki dopełniają ubranie. Do sukien jedwabnych i strojnieszego ubrania można dodać kołnierzyk i falbanki z odpowiedniej grenadyny lub białego tiulu i koronki.

N. 4. Suknia z podwójną spódnicą.

Forma ta nadaje się najlepiej do dobrych, ciężkich wełnianych tkanin. Aksamitny wolant może być tegoż co suknia lub odmiennego koloru np. do popielatej czarnej, fioletowej, lub szafirowej, do jasno-orzechowej lub piaskowej — brazowej, do wszelkich zaś innych kolorów czarny. Zwierzchnia spódniczka i gładki podłużnie wycięty stanik zapina się na aksamitne guziki. Rękawy gładkie, falbaną aksamitną i koronką oszyte; kołnierzyk wykładany wełnowy, oszyty koronką, zapięty koronkową kokardą.

N. 5. Koronka irlandzka.

Ręczna imitacja koronek coraz większej używa wziętości, nie tylko do czepek, kołnierzyków, chusteczek itp. lecz nawet do ubrania sukien w połączeniu z wyłogami i plisami aksamitnymi, a nawet krawatki, barbki i szarfy z crêpe de chine, oszywają się także białą lub czarną koronką. To też ciągle podajemy rozmaite desenie tychże koronek; różne odpowiednie tasiemki i nici koronkowe stanowią materiał, robotę zaś dokładnie wskazują wzory.

N. 6. Chusteczka włóczkowa.

Materiał: 2 łytylałej i 1 kolorowej berlińskiej włóczki. 100 cent. kolorowej 3 cent. szerokiej wstążeczki.

Skrócenie: o. — oczko; o. śc. — oczko ściśle; sk. — słupek; o. pow. — oczko powiertrne.

Chusteczka zaczyna się od górnego wykroju i robi tam i napowrót słupkami. Zaczęcie stanowi łańcuszek ze 150 o., pierwszy raz robi się ciągle na przemian 2 sl. i 2 o. pow. Następnie 36 rzędów robić ciągle 3 sl. przedzielane 1 o. pow. biorąc za całe o. poprzedniego rzędu. Róg z tyłu i śpiczaste końce z przodu formują się przez przybieranie przy zaczęciu każdego rzędu 5 o. pow. na samym środku 1 o. pow. i 3 sl. a na końcu w 5te o. poprzedniego rzędu 3 sl. 1 o. pow. i 1 sl. Kolorowy szlaczek koło chusteczki obrabia się następują-



N. 1—4. Kostium i ubrania domowe.

N. 1. Suknia z wolantami. N. 2. Suknia ze stanikiem pod szyję. N. 3. Stanik z potrójnym ranwersem. N. 4. Suknia z podwójną spódnicą.

jału. Stanik gładki, na jaśniejsze guziki zapinany. Przy pasku karoczek z wielkich 5 kłapek, wykrojonych jakby do krakowskiego gorseta.

5 o. pow. na samym środku 1 o. pow. i 3 sl. a na końcu w 5te o. poprzedniego rzędu 3 sl. 1 o. pow. i 1 sl. Kolorowy szlaczek koło chusteczki obrabia się następują-

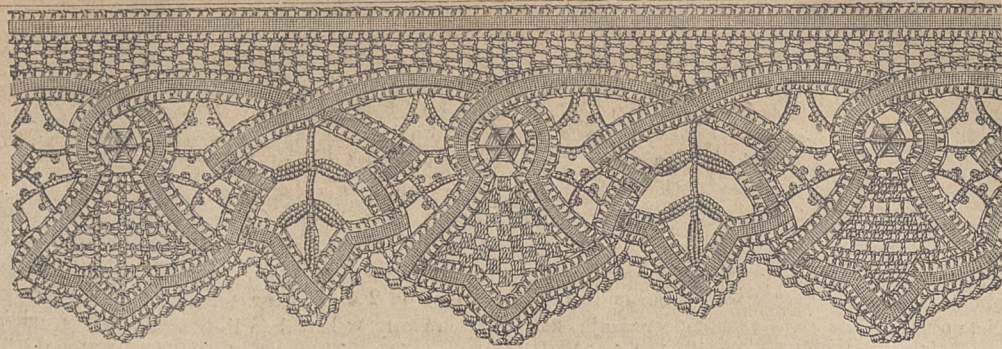
cym sposobem. Rząd 1 słupki przedzielane 3 o. pow. Rząd 2 także sł. mijające się z poprzednimi. Rząd 3* 1 sł. w 3 o. pow. poprzedniego rzędu 1 o. pow. 5 sł. w 3 o. pow. 1 o. pow. 1 sł. 3 o. pow. powtórzyć od gwiazdki.* Rząd 4 zaczęty od pierwszego o. pow. poprzedniego rzędu, otrzymuje naprzemian 7 sł. 3 o. pow. 5 sł. w 3 o. pow. poprzedniego rzędu, 3 o. pow. 7 sł. i t. d. Rząd 5 powtarzać ciągle 3 o. sc. w 3 środkowe z 7 sł. poprzedniego rzędu, 3 o. pow. 5 sł. przedzielanych 1 o. pow. nad 5 sł. poprzedniego rzędu, 3 o. pow. Nakoniec w rzędzie ostatnim: w środkowe z 3 o. sc. poprzedniego rzędu 1 o. sc. 3 o. pow. 5 sł. przedzielanych 2 ocz. pow. 3 o. pow. Jak przy robocie chusteczki potrzeba stosownie przybierać na rogach, tak samo też przy robocie szlaczka.

N. 7—9. Serwetka na stolicek.

Haft gipiurowy.

Materiał: cieniutkie płótno białe lub niewarowe, bawełna do haftu N. 40; nici kręcone N. 20.

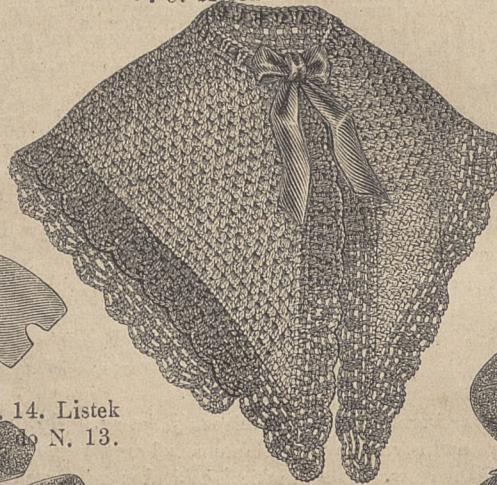
N. 7. Podaje w całości odrobioną serwetkę. N. 8 i 9 przedstawiają desenie szlaku do serwetki na małejki owalny stolicek. Desenie te łatwo dadzą się powiększyć i do potrzebnego rozmiaru dopasować z zachowaniem czterech na wzorze N. 7 wskazanych przedziałów.



N. 5. Koronka Irlandzka.



N. 14. Listek do N. 13.



N. 6. Chusteczka szydełkową robotą.



N. 15. Powój do N. 10.



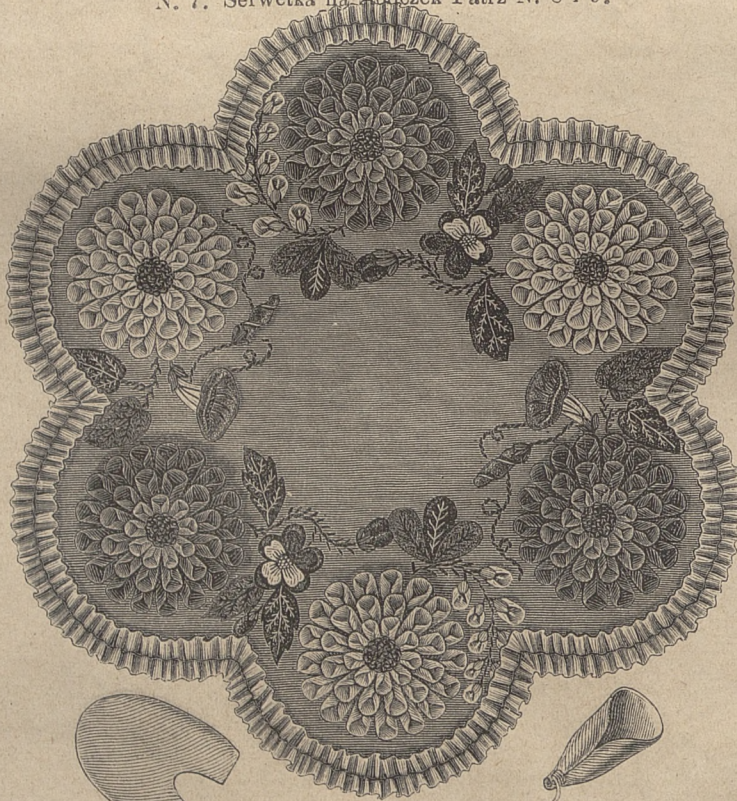
N. 7. Serwetka na stolicek Patrz N. 8 i 9.

układa podług wzoru, w środku kordonkiem cytrynowym do tła przyszywa, i kielich włóczką zieloną haftuje. Liście akacji i innych kwiatów wycinają się podług formy z różnych odcieni sukna zielonego i przyszywa na tło kordonkami do cieniu, ścięciem podługnym naśladowującym żyłki. Wąsy i korzonki haftują się ścięciem sznureczkowym. Kwiat powoju z sukna niebieskiego a kielich z białego przykrawa się podług N. 15, żyłki na kielichu od-

kordonek żółty, pasowy, biały i zielony do cieniu, cienki lila jedwab, 3 cienie zielonej włóczki, perełki stalowe i wstążeczka zielona 2 cent. szeroka.

Okrągły kawałek popielatej amerykańskiej skóry 30 cent. średnicy, wycięty w 6 okrągłych zębów mających 11 cent. szerokości a 4 cent. głębokości, stanowi tło patarałki. Na zębach przyszywa się na przemian białe i pasowe georginje, z listeczków sukniennych ułożone.

Za podstawę każdej z nich służy kółeczko ze skóry amerykańskiej 4 cen. średnicy. Pierwszy rząd składa się z 20 listków podług wzoru N. 11 przykrojonych, a podług N. 12 zeszytych, drugi z 14 mniejszych, a trzeci z 8 najmniejszych. Środek nakształt guziczka haftuje się na materji supełkami, włóczką zieloną w 2 cieniach. Pomiędzy georginjami naszyte naprzemian gałązki akacji, powoju i bratków. N. 13 podaje w naturalnej wielkości gałązkę akacji Nr. 14 przedstawia formę kwiatka, który wykrawa się z sukna cytrynowego,



N. 10. Patarafka z aplikacją.

N. 11. Liść georginji do N. 10.

N. 12. Liść georginji zwinięty do N. 10.

N. 10—15. Patarafka pod lampę. Aplikacja.

Materiał: popielata amerykańska skóra; kawałeczki sukna w kolorach: białym, pasowym, cytrynowym, niebieskim i kilku odcieniach zielonych, kawałki aksamitu fioletowego,

rabia się jedwabiem pomarańczowym, a na kwiatku żółtym, pasowym i białym. Pączek z sukna niebieskiego, wysłany wata i przewiązany jedwabiem pomarańczowym i białym, przyhaftowany jest do gałązki zarówno jak i kielich kwiatu, jedwabiem zielonym.

Na bratek wycina się jasne listeczki z sukna żółtego, zwierchni pojedynczy ma 2 cent. długości, $1\frac{1}{2}$ szerokości, dwa poprzeczne kraja się razem z paską 4 cent. długiego $1\frac{1}{2}$ cent. szerokiego, wycinają w ząbek, środkiem przemarszczają i naklejają gumą na cokolwiek większych listkach aksamitnych. Dwa aksamitne fijołkowe listki kraja się osobno, przymarszczają i łączą do



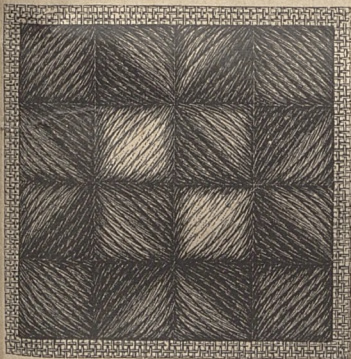
N. 19. Fartuszek z fałdą do domowego ubrania.

kwiatka, a kielich środkowy zapełnia stalowieniami perełkami na jedwabiu zielonym, poczem cały bratek cokolwiek wypukło naszywa się na tle ściąganiem krytym; pączki z aksamitu fijołkowego, mają kielich haftowany jedwabiem zielonym. Nakoniec brzeg patarafka oszywa się wstążeczką zieloną, środkiem przemarszczoną.

N. 16 — 18. Kamień z kieszonkami do przypinania szycia.

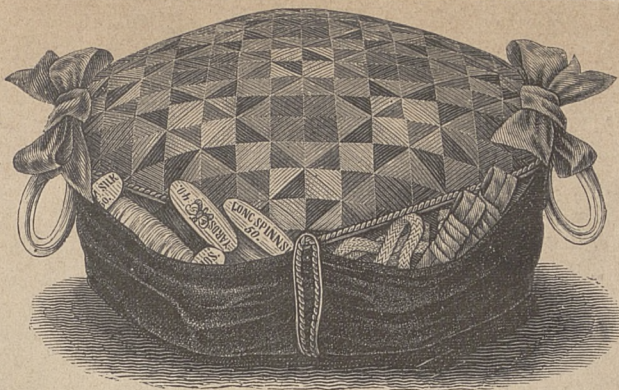
Ścieg mozaikowy na kanwie.

Materiał: kanwa średniej grubości, włóczka angielska w różnych kolorach, kaszmir, aksamit, 60 cent. wstążki w atłasie 2 cent. szerokiej, sznur jedwabny, 2 kółka porcelanowe lub kościane 3 centym. średnicy, agreman.



N. 17. Mozaika do N. 16.

Oszlifowany sześciąt z piaskowca, mający 16 cent. długości, 4 cent. wysokości lub w braku tego, forma z drzewa wydrążona i ołowiem zalana dla ciężkości, pokrywa się ze spodu i z boków materją wełnianą fijołkową lub brązową, z wierzchu zaś trochę watuje, ozdabia robotą mozaikową i oszywa kręconym sznurem jedwabnym. Poczem dodaje się kieszonki na różne przedmioty do szycia niezbędne. Na te kieszonki kraja się skośny pas aksamitu w kolorze takim jak podszewka 8 cent. szeroki, u góry dla sztywności zaszywa się agreman, u dołu przyszywa do podszewki wzdłuż przemarszcza, do rogów kamienia przymocowywa i zdoł na przyszyciu sznurem. Na dwóch przeciwnych rogach przyszywa się kokardy i kółka do podnoszenia. N. 17 podaje próbkę ścięgu mozaikowego i wskazuje gęstość użytej kanwy. Skośnie



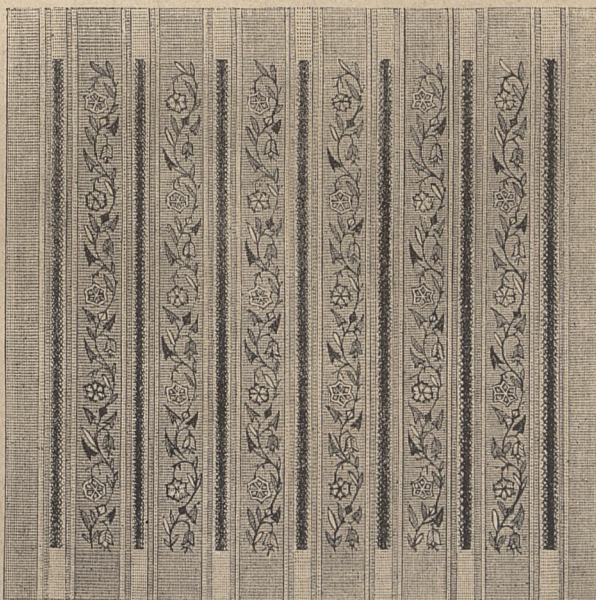
N. 16. Kamień do przypinania szycia z kieszonkami.



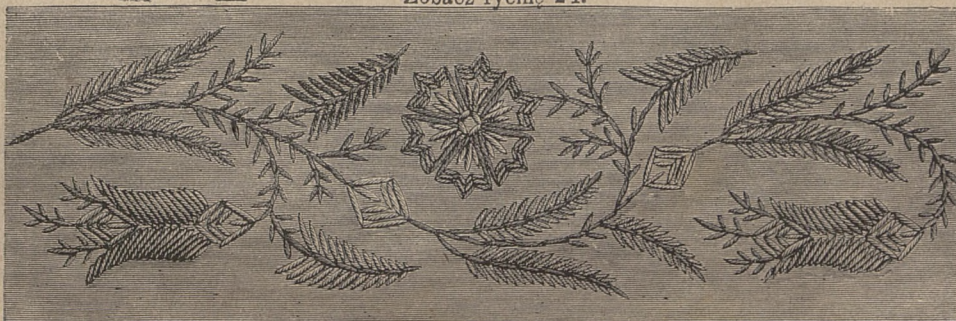
N. 21. Krawatka oszyta koronką.



N. 22. Szydełkowy bukciek do przyozdobienia tiulowych serwetek.



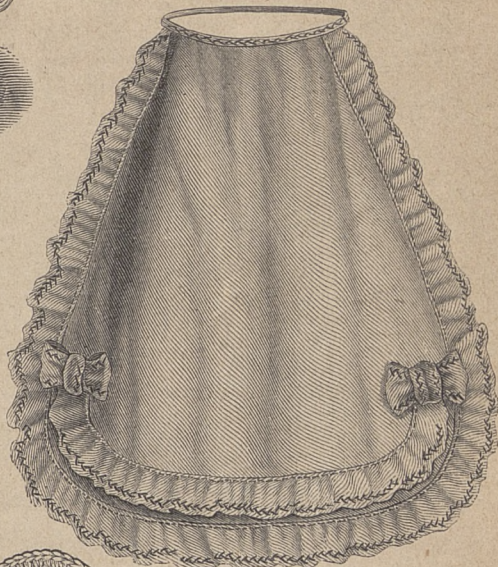
N. 23. Haft na dryliehu do poduszki na sofę. Zobacz rycinę 24.



N. 24. Haft na drelichu do pokrycia poduszki na sofę na serwetki do pokrycia stolików i t. d.

idące długie, luźne ścięgi, powinny tylko z prawej strony kanwę pokrywać, z lewej zaś strony przewłóczy się zawsze igłę z nitką roboczą pod dwie nitki kanwy na przemian u góry i u dołu kwadracika, tworząc tym sposobem jakby pojedyncze ścięgi stębnówki.

N. 18 oznacza użyte kolory i wskazuje ich układ.

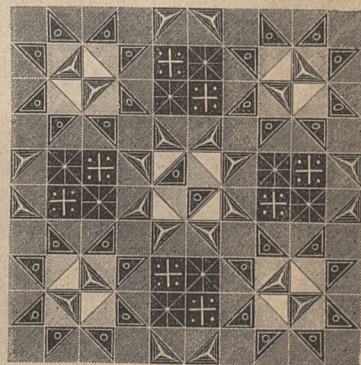


N. 20. Fartuszek z falbanką przy gospodarskim zajęciu.

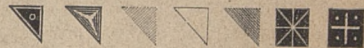
N. 19. Fartuszek do domowego ubrania.

Prosty u dołu zaokrąglony kawałek materji 57 cent. długi, 67 cent. szeroki, układa się u góry w 4 głębokie fałdy, w ten sposób, ażeby środkowa kontrafałda 15 cent. a cała objętość fartuszka 22 cent. zajmowała.

Garnirunek stanowi wolant u dołu 12 cent. szeroki, z boków stopniowo do 3 cent. zwężony, nad nim 3 cent. szeroka, atłasem objęta plisa skośna i nakoniec do góry obrócona 2 i pół cent. szeroka, plisowana falbanka. Pasek 3 cent. szeroki zawiązuje się na jedwabny sznur, zakończony kwastami.



N. 18. Deseń z oznaczeniem kolorów do ryc. 16.



ciem- jasno ciem. popie- jasno zie- brą
ny, lila, żółty, lity, żółty, lony, zowy

N. 20. Fartuszek do gospodarstwa.

Chociaż tak garnirunek, jak i kliniasta forma fartuszka może zarówno zastosowaną być do materji lub alpigi, na naszym jednak wzorze odrobiony jest z makintoszu czyli z kauczukowego angielskiego wyrobu, który jako miękki, niegniący się, a co więcej nie przemakający i nie łatwo palący się bardzo użyteczny jest przy gospodarstwie i porządku domowym.

N. 21. Kokarda do kołnierzyk.

Kokarda z kolorowej crepe de chine, przyszywa się na kawałku sztywnego tiulu, skośne końce 11 cent. długie 17 cent. szerokie naszyte są 2 cent. szeroką wstawką czarną i oszyte 4 cent. szeroką marszczoną

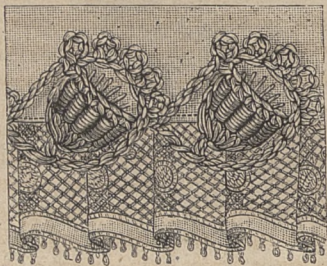
koronką, pod którą poddana kolorowa siejka trenażowa 2 1/2 cent. szeroka.

N. 22. Szydełkowy bukiet jako aplikacja na tiulowe kapy, kołdry, serwetki i t. d.



N. 25. Sukienka skośnie zapięta dla chłopczyka od 2—4 lat.

Każdy listek i kwiatek robi się osobno, potem nieznacznie spaja, przyczem nadać można bukietowi stosownie do woli kształt mniej lub więcej zaokrąglony lub podłużny. Duże listki zaczynają się od środka łańcuszkiem z 24 — 26 oczek, który z obydwóch stron obrabia się oczkami śc. potem w 4 o. pow. zaczyna się długie ściśle słupki, z początku 3 dalej 4 razy nawijane i znów ku spiczastemu końcowi skraca się aż do 1 nawinięcia, przybiera podług formy na rogach i robi drugą połowę liścia w odwrotnym kierunku. Po długich słupkach następują dwa obrobenia oczkami ściś. zabierając za całe oczka poprzedniego rzędu. Na wykończonym liściu dodaje się z wierzchu ścięciem łańcuszkowym żyłki i obrabia dwa razy liść do koła. Dwie połączone z sobą gwiazdki



N. 29. Szlaczek z koronki i aplikacji szydełkowej.



N. 27. Sukienka z podwójną spódniczką.

N. 28. Sukienka z karoczką.

stanowią kwiatek; dolna gwiazdka większa zaczyna się kółkiem z 9 o. pow. koło których obrabia się 4 o. pow. potem w równych odstępach 7 listków, każdy z 5 o. pow. Nitką pozostawioną przy początku i końcu gwiżdki, robi się dwa wąsy z 5—6 o. pow.

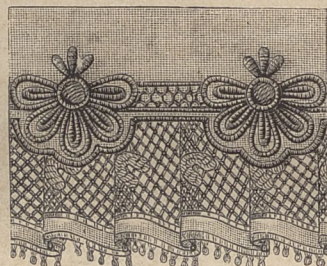
Drugą gwiazdkę stanowi 5 listków połączonych o pow. a nitką początkową i końcową odpowiednio przycięta



N. 26. Sukienka dla chłopczyka od lat 2 — 4.

tworzy wąsy. Robotę gałązek, korzonków i małych listków dokładnie objaśnia rysunek.

N. 23 — 24. Haft na drelichu na poduszkę, serwetkę do przykrycia stolika i t. d.



N. 30. Szlaczek z koronki i aplikacji haftowanej.

Drelich w białe i popielate pasy stanowi tło, na pasach szerokich białych haftuje się kordonkami w jasnych kolorach desek podany pod N. 24. Na wąskich pasach popielatych naszywa się czarna wełniana plecioneczka. Brzegi poduszki czy serwetki oszyć można tasiemką wełnianą w jasnym kolorze lub frendzlą włóczkową w mieszanych odpowiednich kolorach. W miejsce drelichu można użyć na tło, sukna lub kaszmiru.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 13 Tyg. Mód



N. 32. Stanik z karoczką ubrany plisami i falbanką.



N. 31. Stanik z baskiną, przybity aksamitem.

KORRESPONDENCJA

Pani W. M. — Dwa wierszyki do wiosny, zamieszczone z ostatnią w Przyjacielu Dzieci, jako wdzięcznym obrazowaniem i formą odpowiednią zupełnie temu pismu.



M. 33. Kaftanik ubrany plisami i falbanką.